MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 9. WARSZAWA, 3 MARCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

WIEŚCI Z ŁODZI

NA RADĘ miejską w Łodzi, w której, wbrew socjalistyczno-żydowsko-masońskim tradycjom tego miasta, obóz narodowy zdobył sobie większość, zwrócone są dziś oczy całej Polski.

Ze sprawozdań z posiedzeń tej rady, oraz jej komisyj idzie wiew nowego życia, który w całej atmosferze dzisiejszej Polski oddziałuje jak coś krzepiącego i orzeźwiającego.

Narodowa rada miejska w Łodzi — nie ze swojej winy — niewiele jeszcze miała pola do przejawienia działalności i do ujawnienia swojego oblicza. Tem nie mniej to, co już zdziałała, stanowi szereg faktów tej wagi, że urastają one do znaczenia wydarzeń politycznych, obchodzących cały kraj.

Polityka narodowej większości w łódzkiej radzie miejskiej sprowadza się do trzech rzeczy: do bezwzględnej i bezkompromisowej walki o odżydzenie wszystkiego, co objęte jest zasięgiem jej wpływu, do bezwzględnej, a nawet poprostu drakońskiej polityki oszczędnościowej, stawiającej sobie za cel radykalne zmniejszenie samorządowego budżetu, oraz do przebudowy dostępnych jej wpływowi dziedzin życia w kierunku zgodnym z programem narodowym. Wchodzi tu: 1) walka z nadprodukcją inteligencji, a więc np. cios, wymierzony w Wolną Wszechnicę; 2) walka z etatyzmem; 3) walka o obniżenie potrzeb i zmniejszenie kosztów produkcji, a więc np. uchwała o zniżce cen biletów tramwajowych, która da się osiągnąć jedynie drogą zmniejszenia komfortu w tramwajach, zmniejszenia zysków przedsiębiorstwa i t. d.; 4) walka z rozkładem moralnym, (np. cofnięcie subwencji dla przychodni świadomego macierzyństwa).

Zapoznajmy się z łódzkiemi uchwałami po kolei.

Najbardziej głośną z tych uchwał jest skreślenie przez komisję budżetową rady miejskiej rocznej subwencji 100.000 złotych dla „Wolnej Wszechnicy" w Łodzi. Uczelnia ta jest zakładem prywatnym, mającym swą centralę w Warszawie i filję w Łodzi, posiadającym program zbliżony do uniwersyteckiego i na programie poszczególnych wydziałów uniwersyteckich wzorowany, lecz traktującym swoje wykłady o wiele od uniwersyteckich płycej i pobieżniej. Jest ona najczęściej miejscem dokształcania się i zdobywania sobie tandetnych pozorów wyższego wykształcenia przez półinteligentów, którzy nie zdołali się przecisnąć przez bynajmniej zresztą nie ciasne „ucho igielne" matury. Produktem owej uczelni są — kandydaci na urzędników.

Jest rzeczą jasną — że jedynym rozsądnym postulatem w stosunku do tego rodzaju zakładu, trudniącego się masową produkcją proletarjatu inteligenckiego jest — jego zwinięcie.

Bynajmniej nie jesteśmy zwolennikami małej liczby uniwersytetów, wszystko jedno, państwowych czy prywatnych. Uważamy, że liczbę t. zw. inteligencji trzeba będzie zredukować, a raczej, że życie niezależnie od naszej woli liczbę jej zredukuje, — zapewne do jednej czwartej obecnego stanu. Ale nie znaczy to, by trzeba było zredukować uniwersytety; nawet przeciwnie, — uważamy, że liczbę ich możnaby w Polsce powiększyć. Wysuwaną od pewnego czasu myśl założenia uniwersytetu na Pomorzu uważamy za zupełnie zdrową. A tak samo nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby powstała jakaś wyższa uczelnia (np. szkoła

inżynierów-włókniarzy) w Łodzi. Jesteśmy bowiem zdania, że fakultet, który ma np. 100 słuchaczy jest fakultetem naukowym o wiele bardziej z prawdziwego zdarzenia, niż fakultet-masówka, mający ich np. 1000 i wskutek tego nie mogący absolutnie podołać zadaniu kształtowania umysłu każdego słuchacza, wziętego z osobna.

Ale o ile jesteśmy zwolennikami rozwoju w Polsce rzetelnej nauki i prawdziwego wyższego szkolnictwa, o tyle opowiedzieć się musimy za likwidacją szkolnictwa pseudo-wyższego, które masowo produkuje tylko półinteligencję, mającą wysokie mniemanie o sobie, lecz do żadnej twórczej pracy niezdolną.

Omówienie sprawy „Wolnej Wszechnicy" w Łodzi byłoby niezupełne, gdyby się nie wspomniało ponadto o fakcie, że uczelnia ta opanowana jest przez żydów i masonów, że wykłady w niej owiane są duchem masońskim, lub poprostu żydowskim i że również lwia część jej słuchaczy — to są żydzi.

Teraz druga uchwała. Teatr miejski. Komisja budżetowa skreśliła całkowicie subwencję dla tego teatru od dnia 1 września b. r., t. j. od terminu, do którego miasto obowiązane jest ją wypłacać na zasadzie prawomocnego kontraktu. Tym sposobem uzyskano oszczędność w wysokości 54.000 złotych. Teatr miejski w Łodzi uczęszczany jest przez żydów i posiada charakter — znany i innym miastom polskim, lecz nigdzie nie w tym stopniu — teatru o żydowsko-komunizującem obliczu. Byłoby pożądane, by teatry tego typu były wogóle w Polsce pozwijane, nawet gdyby były finansowo samowystarczalne. Tem mniej uzasadnione jest podtrzymywanie ich istnienia — z pieniędzy podatkowych. — Równocześnie komisja przyznała niewielką subwencję „teatrowi popularnemu", będącemu rzetelną i pożyteczną placówką kulturalną i odwiedzanemu przez publiczność polską.

Daalej, komisja budżetowa poskreślała szereg subwencyj dla szeregu instytucyj żydowskich, takich, jak: „Talmud Tora", „Ort", „Towarzystwo szerzenia oświaty wśród żydów", „Uzdrowisko", „Bykur Chalin", „Toz", „Linas Hacedek" i szereg innych.

Następnie, skreśliła subwencje dla niektórych organizacyj sanacyjnych i socjalistycznych, posiadających typowy charakter sztucznych formacyj, dzięki subwencjom utrzymujących się przy życiu.

Skreśliła wreszcie subwencje dla instytucyj, szerzących demoralizację, np. dla „Poradni świadomego macierzyństwa".

Nie znamy dokładnych cyfr, uzyskanych stąd w sumie oszczędności, wynoszą one jednak w każdym razie setki tysięcy.

Obok działalności oszczędnościowej — wymienić należy uchwałę o obniżce ceny biletów tramwajowych, oraz wytrwałą walkę o zastosowanie bojkotu żydów przez miasto, t. j. o odebranie zakupów magistrackich firmom żydowskim.

„Nie łudźcie się, ani grosza nie damy dla żydów!" — zawołał na posiedzeniu rady miejskiej adwokat Kowalski, wódz narodowej Łodzi i bohater słynnego, zakończonego uniewinnieniem (po siedmiu miesiącach więzienia) procesu.

Żydowski „Nasz Przegląd" napisał w tych dniach:

„Nie siląc się w najmniejszej nawet mierze, by spełnić swoje zobowiązania wobec mas wyborczych, czyni jednak endecka większość największe wysiłki, by jaknajprędzej w całości zrealizować ich program w stosunku do społeczeństwa żydowskiego. Dążąc do absolutnego odżydzenia instytucyj podległych magistratowi, radni endeccy nie przystępują do rozpatrzenia jakiejkolwiek sprawy, nie upewniając się przedtem, że w danej instytucji niema urzędników żydów".

„Gazeta Warszawska" słusznie na to odpowiada:

„Obietnicami obóz narodowy nie szafował i nie szafuje. „Zobowiązań" innych, niż prowadzenie polityki szczerze narodowej i uczciwej, stawiającej sobie za cel istotną poprawę położenia w Polsce, oraz zwalczanie niebezpieczeństwa żydowskiego i stanowcze przeprowadzenie oszczędności, wogóle nie zaciągał.

Jeśli zaś chodzi o „zrealizowanie w całości" programu w stosunku do żydów, to „Nasz Przegląd" ma rację. Informacje jego są, owszem, prawdziwe".

Zapewne niejedną jeszcze ciekawą i radosną wiadomość z Łodzi usłyszymy.

J.

MAKJAWEL, MONTESKJUSZ i PROTOKUŁY MĘDRCÓW SYJONU

(Ciąg dalszy)

TU WARTO zatrzymać się na chwilę. Joly, jako się rzekło, był masonem wysokiego stopnia, musiał więc być bardzo rozgoryczony na masonerję, jeśli charakteryzuje ją tak, jak zaraz zobaczymy. Skąd to rozgoryczenie?

Wszystko, co planuje Makjawel w rozmowie z Monteskjuszem, jest poprostu odtworzeniem tych metod rządzenia, które w praktyce stosował rząd Napoleona „Małego". Rząd ten, zabroniwszy pod surowemi karami stowarzyszeń tajnych, t. j. takich, do których nie miał dostępu, tolerował doskonale wolnomularstwo, w którem miał swoich ludzi i które płaszczyło się przed nim, miast go zwalczać, jak Joly. Niewątpliwie wolnomularstwo ma na myśli Joly, wkładając Makjawelowi w usta słowa następujące:

„Ludzie, którzy tworzą te związki, należą do wszystkich narodów, do wszystkich klas, do wszyst-

kich stopni; będę więc wiedział o najtajniejszych intrygach politycznych... Ten podziemny świat tajnych stowarzyszeń liczy mnóstwo pustych mózgownic, do których nie przywiązuję żadnej wagi, ale można tem kierować, można puszczać w ruch pewne siły... Te tygrysy mają dusze baranie i wiatr w głowie; wystarczy mówić ich językiem, aby dostać się w ich szeregi. Zresztą prawie wszystkie ich ideje są nie do uwierzenia bliskie doktrynom władzy absolutnej. Ich marzeniem jest pochłonąć jednostki w symbolu jedności. Żądają oni całkowitego urzeczywistnienia tego również przez władzę, która ostatecznie może być tylko władzą skupioną w ręku jednego człowieka. Widzisz, że i w tem jestem przywódcą ich szkoły. Wreszcie trzeba powiedzieć, że tak bardzo nie mają wyboru: tajne stowarzyszenia istnieć będą w warunkach, które ja określę, albo nie będą istniały wcale" (str. 156 i n.).

Ale idźmy dalej. Monteskjusz, były sędzia, potem prezydent trybunału, widzi w planach Makjawela jeden punkt słaby: niezależne sądownictwo, na które nawet taki władca nie poważy się chyba podnieść ręki. Makjawel go uspokaja: znieść niezawisłość sędziowską? Cóż znowu! Ale rozumne złagodzenia zasady zbyt bezwzględnej są konieczne, interes publiczny bowiem wymaga, aby, zwłaszcza w sprawach politycznych, sędziowie byli zawsze po stronie władcy. Przedewszystkiem należy obniżyć granicę wieku i przenieść na emeryturę starszych sędziów, niezdolnych przystosować się do nowych warunków; przez to stwarzać się będzie nowe wakanse, zaostrzać zdrowe współzawodnictwo i niszczyć *esprit de corps*, tak szkodliwy zwłaszcza w sądownictwie. Prokurator winien być prokuratorem rządu, jak dawniej był prokuratorem królewskim. Szczególną uwagę należy zwrócić na właściwą obsadę Sądu Najwyższego. Monteskjusz oburza się na tendencyjną interpretację ustaw? Niechże zważy, że stronnictwa polityczne atakują rząd przy pomocy interpretacyj, dystynkcyj prawnych, subtelności, które wynajdują w prawie konstytucyjnem: czyżby chciał, aby rząd nie stosował tych samych środków względem stronnictw? Zresztą rażące mogą być tylko pierwsze interpretacje; gdy w następnych wypadkach zapadać będą takie same wyroki, nikogo to już nie zdziwi.

Samorząd pozostanie; ale urzędnicy samorządowi będą mianowani.

Przy wyborach wystawione będą kandydatury rządowe, które cała administracja będzie miała obowiązek popierać. Główna rzecz — to nie dopuścić do wyborów partyjnych.

— Dlaczego—pyta wreszcie Monteskjusz—mówisz wciąż o stronnictwach? Pod pozorem krępowania stronnictw czyż nie krępujesz samych wyborców? Ostatecznie stronnictwa są tylko zrzeszeniem wyborców: jeżeli wyborcy nie mają prawa oświecać się przez zgromadzenia, przez porozumienia, jakże będą mogli głosować z należytą świadomością rzeczy?

A Makjawel na to:

— Nie troszcz się o nich. Wyborcy, ożywieni dobremi intencjami, będą zawsze wiedzieli, na kogo głosować.

Głosowanie ma być nie na listy, które wprowadzają niepotrzebny zamęt, lecz na osoby, w okręgach jednomandatowych, które się będzie odpowiednio przykrawać.

Na uwagę Monteskjusza, że niewielu ludzi utalentowanych wejdzie przez takie wybory do parlamentu, Makjawel odpowiada:

— Interes publiczny wymagu ludzi nietyle utalentowanych, ile raczej oddanych rządowi. Wielkie talenty znajdują się na tronie i wśród ludzi tron otaczających; gdzieindziej są zbyteczne, nawet szkodliwe, gdyż mogą się ujawniać jedynie przeciwko władzy.

Dalsze wskazania Makjawela obejmują: wzmocnienie władzy rządowej nad uniwersytetami, pozbawionemi, oczywiście, samorządu, stopniowe ograniczenie szkolnictwa prywatnego, wreszcie wprowadzenie do szkół historji współczesnej. „Znać swoje czasy jest rzeczą conajmniej tak ważną, jak znać czasy Peryklesa; będę chciał, aby historji moich rządów uczono w szkołach już za mego życia. W ten właśnie sposób władca przenika do serc pokolenia. Specjalne zarządzenia wprowadzą nową organizację adwokatury. Przedmiotem szczególnej troski stanie się duchowieństwo. Wystarczy zręcznie podsycać propagandę antyreligijną, dążenia do oderwania się od Rzymu i utworzenia Kościoła narodowego, a potem zwrócić się do Stolicy Apostolskiej z propozycją: rząd będzie powstrzymywał te żywiołowe ruchy antyreligijne i antykościelne, ale wzamian niech Kościół poprze go całym swym wpływem moralnym. Wreszcie rzecz najważniejsza: policja. Policja tajna wszędzie, we wszystkich warstwach społeczeństwa, w salonach i fabrykach, miejscach publicznych i najbardziej zamkniętych ogniskach domowych. Niestety, to jest zadziwiające zjawisko ta łatwość, z jaką ludzie godzą się być donosicielami na bliźnich", — powiada Makjawel Niezliczone szeregi tajnej policji strzec będą władcy. Gdyby jego urok zaczął blednąć, zręcznie uknuty nań i szczęśliwie udaremniony spisek lub zamach jest najlepszym sposobem przywrócenia mu sympatji mas.

Pozostaje jeszcze arsenał sposobów gospodarczych, finansowych i moralnych.

IV

Gdy Makjawel pokazał Monteskjuszowi, że można kłamstwem wypaczyć każdą słuszną zasadę i na fałsz nastawić każdą instytucję, twórca „Ducha Praw" próbuje szukać ratunku w kontroli finansów publicznych. Jeżeli ludy nie przejmują się utratą praw i wolności, to pewnie nie będą obojętne na zagrożone interesy materjalne. Rządy despotyzmu są droższe od rządów konstytucyjnych; te ostatnie wymagają zgody przedstawicielstwa narodowego na dokonywanie wydatków i nakładanie ciężarów na społeczeństwo, kontroli nad gospodarką groszem publicznym, porządku i jawności. Niemożność wydawania pieniędzy na inne cele, jak na te, na które zostały uchwalone, konieczność zwracania się do przedstawicielstwa narodowego o kredyty dodatkowe w razie potrzeby, odpowiedzialność ministrów za wykonanie budżetu, wreszcie istnienie Najwyższej Izby Kontroli — oto szereg rękojmi, że środki, ściągnięte ze społeczeństwa, będą zużyte celowo i zgodnie z prawem. Ale te rękojmie wykluczają dowolność w systemie rządzenia: pilnując swoich interesów materjalnych, swoich groszy państwu powierzonych, społeczeństwo z konieczności pilnować musi porządku prawnego we wszystkich innych dziedzi-

nach, bowiem bezprawie w jednej pociąga za sobą bezprawie we wszystkich.

Makjawel nie przejmuje się zbytnio temi wywodami. Monteskjusz mówił jak ekonomista i finansista; on będzie mówił jak polityk. Otóż jako polityk musi przedewszystkiem stwierdzić, że gospodarka budżetowa państwa nie ma nic wspólnego z zasadami gospodarowania prywatnego, jak polityka nie ma nic wspólnego z moralnością. Nacisk musi być położony na operacje rachunkowe, których efektu zewnętrznego nic nie podważy. Najw. Izba Kontroli stanie się, oczywiście, instytucja czysto administracyjna, *une chambre d'enregistrement sans remontrance*. Po zamachu muszą być poczynione odrazu wielkie wydatki nadzwyczajne, ale po pierwszych wyborach już powróci wszystko do zwykłego porządku i Izby będą zatwierdzać coroczne budżety, tylko w nieco zmiennych okolicznościach. Przedewszystkiem rząd pracowity i twórczy nie może tracić czasu na szczegółowe wyjaśnienia w parlamencie i sesja budżetowa będzie skrócona do właściwych rozmiarów. Budżet będzie głosowany ministerstwami, i w obrębie każdego ministerstwa wolno będzie czynić przeniesienia *(virements)* bez ograniczeń. Obok budżetu zwyczajnego będzie budżet sprostowawczy *(rectificatif)*, budżety dodatkowe, nadzwyczajne i specjalne. Wszystko polega na sztuce grupowania cyfr i należytego rozróżniania wydatków, dzięki czemu osiąga się konieczne luzy *(la latitude nécessaire)*. Tym sposobem można niespostrzeżenie w ciągu krótkiego czasu podwoić, a nawet potroić budżet. Wreszcie pozostają pożyczki.

— Tak, ale oprocentowanie i amortyzacja pożyczek obciążają państwo nowym i stałym wydatkiem!

— To nie jest konieczne! To wszystko jest kwestją prasy. Trzeba, aby prasa powtarzała oświadczenia mego ministra skarbu, że istota naszej gospodarki skarbowej polega na jawności i kontroli: że wprawdzie wydatki były większe, niż przewidywano, ale w przyszłym roku będą zato określone dokładnie, że przewiduje się wzrost dochodów, że budżet będzie zrównoważony, że na mniejsze wydatki nie pozwala godność państwa. Gdy nie można chwilowo podnieść podatków, rząd prawdziwie demokratyczny zwraca się do wszystkich, bogatych i biednych, by kupowali obligacje pożyczki państwowej, nazajutrz po rozpisaniu pożyczki tłumy cisną się do kas, obligacje idą w górę, pożyczka zostaje pokryta kilkakrotnie, ale mój rząd, choć oświadczył, że nie potrzebuje więcej, przyjmuje wszystko, a jeżeli chce sprawić większy efekt, zwraca pieniądze tym, co się zgłosili po zamknięciu subskrypcji.

—Dobrze, ale jak ze spłacaniem, bo tego jakoś dowiedzieć się nie mogę?

— Przedewszystkiem można przeprowadzić konwersję na pożyczkę niżej oprocentowaną, wobec zaufania, jakie wszyscy muszą mieć do mego rządu, nikt nie zechce być spłaconym, wszyscy przyjmą obligacje nowej pożyczki. Powtóre, można za bony skarbowe brać pieniądze, które w wielkich ilościach a zupełnie bezużytecznie leżą w kasach samorządów, zakładów publicznych, instytucyj oszczędności, przezorności, ubezpieczeń. Rząd wprawdzie zobowiązuje się oddać je na każde żądanie, ale nic łatwiejszego, jak konsolidacja długów i każdy będzie wolał ostatecznie rentę państwową, niż nic. Tym sposobem nie będzie w państwie ani jednego grosza, któryby nie był związany z losami mego rządu, a każdy właściciel oszczędności będzie się modlił, abym rządził jak najdłużej. Wreszcie państwo będzie właścicielem olbrzymich banków, których istotnem zadaniem będzie popierać moją politykę.

Monteskjusz, któr tyle myślał nad środkami, zdolnemi zabezpieczyć społeczeństwo przed nadużyciami władzy *(Qui le dirait! la vertu même a besoin de limites)*, nie może się wstrzymać od wtrącenia słusznej uwagi:

— Wyobrażam sobie, jakie interesy będą robili w tych warunkach ministrowie, faworyci i wszyscy mający jakiekolwiek wpływy...

Ale Makjawel nie żartuje, gdy chodzi o niepokalaną opinję rządów:

— Gdyby ktokolwiek w mem państwie ośmielił się to powiedzieć, zniknąłby, jak za uderzeniem pioruna!

Dla utrwalenia rządów pozostają jeszcze pewne środki, które Makjawel zaleca przy końcu rozmowy, póki wicher nie rozłączy cieniów obu myślicieli. Uniesiony wyobraźnią mówi teraz o sobie, jako o władcy, co dokonał olbrzymiego dzieła przeobrażenia narodu na masę plastyczną, którą może urabiać, jak zechce. Oto kraj był rozdarty przez walki partyjne, on wrócił mu spokój, godność, siłę. On nauczył społeczeństwo, że wolność— to nie swawola, lecz prawo czynienia tego, co czynić wolno. Rząd jego, opierając się na głosowaniu powszechnem, a dążąc do utrwalenia swej władzy, zapewnia jedynie poszanowanie woli ludu. Jednym z najważniejszych środków tego utrwalenia jest stworzenie oddziałów zbrojnych, jego władzy oddanych. Potem zajęcie się losem bezrobotnego proletarjatu.

Trzeba, aby wszyscy wiedzieli, że z upadkiem władcy nikt nie otrzyma pracy, wybuchną strajki, rozpocznie się szturm na klasy posiadające, upadek przemysłu i handlu, zanik kredytu. Utworzony więc zostanie wielomiljonowy fundusz robót publicznych; proletarjat musi zrozumieć, że z chwilą, gdyby dopuścił się wystąpienia przeciwko rządowi, zostanie bez chleba. Na czoło robót wysuwa się budownictwo, wznoszenie wielkich gmachów reprezentacyjnych i wielkich koszar czynszowych, w których gnieździć się będzie proletarjat. Na wszystkich gmachach widnieć muszą inicjały władcy, jego imię, tablice jemu poświęcono, jego popiersia i pomniki. Biusty jego i portrety, najlepiej w świetnym stroju i na koniu, zdobić muszą sale zakładów publicznych, urzędów i sądów, nie obok krucifiksów, ale naprzeciwko, gdyż „władza najwyższa jest wyobrażeniem władzy Boskiej! Tym sposobem obraz mój złączy się nazawsze z wyobrażeniem Opatrzności i Sprawiedliwości". Ulica i place publiczne winne nosić jego imię lub przypominać daty i wydarzenia z jego życia. Ogromne znaczenie ma rozdawnictwo orderów i odznaczeń: udekorowany — to oddany: *un homme décoré est un homme donné*. Do otoczenia swego na szambelanów i adjutantów winien brać ludzi z najwyższej arystokracji, a podpór swych rządów szukać wśród tych, którzy za poprzednich rządów najgłośniej krzyczeli o demokracji i wolności. Kult władcy

jest rodzajem kultu religijnego i nikt się nie dziwi jego sprzecznościom i jego tajemnicom. Uroczystości i igrzyska zabawiać będą jednych, inni znajdą wymarzone sposobności do spekulacji, bogacenie się, używania; innych jeszcze do kompromisu zmusi widmo nędzy. „Widząc, jak upadają pokolei ci, których uważała za najczystszych, opinja publiczna zachwieje się do tego stopnia, że skończy całkowitą abdykacją“ (str. 286).

Dok. nast.) BOHDAN WINIARSKI

ROLA ŻYDÓW W DZIEJACH POLSKI

PRZED POWSTANIEM STYCZNIOWEM

(Dokończenie)

ZNOWU, dzięki, swemu stanowisku i bogactwu, należał Enoch do tej licznej i wpływowej sfery żydów chrzczonych w Warszawie, która w wypadkach 1861 — 1865 r. była pierwszorzędnym czynnikiem na wszystkich polach. Gładki, dowcipny, władający świetnie francuszczyzną, uzyskał Enoch taki wpływ na namiestnika, że powszechnie nazywano go faktorem Gorczakowa. W chwilach specjalnie trudnych dla księcia, Enoch umiał znaleźć się zawsze pod ręką niecierpliwego starca. Kierował nim jakiś szczególniejszy instynkt żydowski i przeczucie, gdyż zjawiał się zawsze, jak na zamówienie. Zawsze wesoły, umiał Enoch od czasu do czasu wcale dowcipnie zażartować i wywołać uśmiech na usta otaczających osób, i to w chwilach, gdy nikomu śmiać się nie chciało. To też stary arystokrata rosyjski, darząc zdolnego i zręcznego neofitę bezgranicznem zaufaniem, zarekomendował go nawet na dworze petersburskim. I tam umiał Enoch tak sprytnie pokierować, że w krótkim czasie stał się człowiekiem, z którym kamaryla dworu carskiego zaczęła się poważnie liczyć. Niedarmo pisze o nim A. Giller („Historja powszechna narodu polskiego”, t. I, str. 24), że „używał Enoch w Petersburgu znaczenia i był bardzo ceniony przez cara”. Doszedłszy do tak wielkiego znaczenia, nie zrywał Enoch ze swymi współbraćmi. Pozostawał on w dalszym ciągu w bliskich stosunkach z najwpływowszemi rodzinami pochodzenia żydowskiego.

Nie tracił on również kontaktu z Zamkiem nawet po śmierci ks. Gorczakowa; utrzymywał także ścisły kontakt z namiestnikiem Lambertem, u którego bywał wraz z Kronenbergiem. Bliższe stosunki łączyły Enocha z osobistym sekretarzem Lamberta, niejakim Fredrą, który mieszkał u Enocha. Być może dzięki wpływom tego neofity, który był zawsze zwolennikiem surowego ustosunkowania się władzy rosyjskiej do społeczeństwa polskiego, nie doprowadziły do celu starania żywiołów umiarkowanych stolicy, dążących do porozumienia z nowym namiestnikiem.

Wielkie swoje wpływy rzucił Enoch na szalę w chwili, gdy w sferach rosyjskich powstał projekt uspokojenia wzburzonych umysłów w Królestwie przez powołanie wybitnego Polaka na jeden z naczelnych urzędów w kraju. On to właśnie wprowadził Wielopolskiego do Gorczakowa i przedstawił go jako opatrznościowego człowieka, który przy powszechnem rozdrażnieniu zechce przyjąć urząd, ofiarowany mu przez Rosję i doprowadzi do pacyfikacji kraju. Gdy namiestnik upoważnił Enocha do wybadania margrabiego, ten umiał tak wpłynąć na magnata, że zgodził się przyjąć stanowisko dyrektora mającej się utworzyć Komisji wyznań i oświecenia publicznego. Wiele też Enoch dopomógł margrabiemu w Petersburgu, towarzysząc mu w jego podróżach do stolicy Rosji. Zbliżył on pozatem Wielopolskiego do wpływowych semitów, których echem stał się z czasem dumny magnat (Z. L. S. „Historja dwóch lat 1861 — 1862”, t. II, str. 177).

Powołanie margrabiego Wielopolskiego, człowieka wprawdzie bardzo zdolnego, lecz niebywałej dumy (wskutek której niechętne mu były szerokie warstwy narodu) początkowo na stanowisko dyrektora Komisji wyznań i i oświecenia publicznego, a później naczelnika urzędu cywilnego Królestwa, było ciężkim błędem politycznym.

O wiele odpowiedniejszym człowiekiem w tak krytycznej dla kraju chwili byłby Andrzej Zamoyski, cieszący się wielką popularnością wśród ogółu polskiego. Nie miał on jednak poparcia wpływowego żydostwa stolicy, które prowadziło z nim cichą walkę.

Filosemityzm Wielopolskiego nie ustrzegł go jednak od naganki, jaką rozpoczęli na niego poszczególni neofici. Pisma zagraniczne, informowane odpowiednio przez swoich korespondentów, obrzucały błotem margrabiego. Jednego z takich, Wacława Szymanowskiego, współredaktora „Tygodnika Ilustrowanego”, „mechesa“ nietyle utalentowanego, ile sprytnego, nakryto i wysłano na mieszkanie do Białej Podlaskiej. Krewni i bliscy Szymanowskiego postarali się wykorzystać ten moment, czyniąc go odtąd męczennikiem sprawy narodowej. Dwuznaczną politykę prowadziła też w stosunku do Wielopolskiego „Gazeta Polska”. Raz zdawała się popierać margrabiego, zachęcając ludność do czynnej współpracy z nim (powstawała wtedy przeciwko Czerwonym), to znów występowała energicznie przeciwko niemu, starając się poderwać jego autorytet w społeczeństwie.

Tą akcją zaskoczeni byli aryjscy przyjaciele Wielopolskiego, a przedewszystkiem on sam. Margrabia spodziewał się bowiem, że żydzi, obdarowani przez niego szeregiem praw, poprą go niezawodnie. Nie mógł przypuszczać, że rola jego po rozwiązaniu „Towarzystwa Rolniczego” i zgnębieniu Andrzeja Zamoyskiego, w oczach „żydowskich przyjaciół”, była skończoną. Użyty jako taran do rozbicia umiarkowanego obozu polskiego, powinien był odejść po dokonaniu swego dzieła.

W kraju zaś wrzało coraz więcej. Organizacja Czerwonych parła do powstania, do którego wstępem miały być urządzane manifestacje. Znając głęboką religijność ogółu, starali się Czerwoni nadać początkowo manifestacjom charakter obchodów kościelnych. Pierwszym takim obchodem był

pogrzeb generałowej Sowińskiej, wdowy po obrońcy Woli w r. 1831. Wzięło w nim udział wiele tysięcy ludzi, pielgrzymując po pogrzebie na dawne szańce Woli. Przy udziale tysięcznych tłumów odbyły się też manifestacyjne nabożeństwa w rocznicę wybuchu powstania listopadowego, bitwy grochowskiej i t. p.

Urządzane przez Czerwonych manifestacje oburzyły koterję Kotzebue'go, która widziała w nich oznakę zbliżającego się powstania i domagała się surowych represyj. Powoływała się ona na ostrzeżenia władz pruskich, iż w Warszawie istnieje szeroko rozgałęziony spisek polityczny i twierdzenie prasy niemieckiej (będącej po większej części własnością chrzczonych i niechrzczonych żydów), utrzymującej jednogłośnie, że w całem Królestwie, na Litwie i Rusi rozwija się bardzo silna agitacja polityczna. Długo opierał się Gorczakow naleganiom Kotzebue'go, który, chcąc zmusić namiestnika do energiczniejszej działalności, nie cofnął się nawet przed rozpuszczeniem plotki, że Polacy zamierzają wyrznąć Moskali. Kamaryli wojskowej, podniecanej nieustannie przez gazety niemiecko-żydowskie, chodziło bowiem o rozdrażnienie jeszcze bardziej Polaków. Wielce pomocnymi byli im w tem wyżsi urzędnicy, pochodzenia żydowskiego, jak to: znienawidzony przez ludność polską, szef tajnej policji warszawskiej Felkner, gubernator grodzieński Szpeyer, łapownik, dający się srodze we znaki Polakom i inni.

Liczni agitatorzy, których programem było przygotowanie powstania, szli na rękę klice Kotzebue'go, domagającej się przywrócenia rządów wojskowych. Starali się oni o wywoływanie stałych awantur ulicznych, o obrażanie oficerów rosyjskich w miejscach publicznych i t. p.; ludzie poważniejsi pragnęli zapobiec tym ekscesom. Winowajcy naśmiewali się jednak z nich głośno, a drażnienie poszczególnych Moskali nie ustawało.

Pierwsze krwawe ofiary padły na ulicach stolicy w lutym 1861 r. Gorczakow, obserwujący w towarzystwie Enocha, który nie odstępował namiestnika w tych burzliwych czasach nawet na chwilę, z okien Zamku przebieg manifestacji, dał rozkaz wojskom rozpędzenia tłumów. Manifestacja zakończyła się salwami wojsk rosyjskich; od kul poległo pięciu Polaków. W Warszawie nastąpiło nieopisane wzburzenie; rzemieślnicy klękali na ulicach i głośno przysięgali zemstę. Naprężoną sytuację pogorszył fakt rozwiązania wkrótce potem Towarzystwa Rolniczego. Wykorzystali to dla przygotowania nowej manifestacji Czerwoni, najzajadlejsi wrogowie żywiołów, grupujących się koło Andrzeja Zamoyskiego. W wielkiej manifestacji kwietniowej wzięli liczny udział żydzi. Skupieni na ul. Marjensztadt zachowywali się oni specjalnie hałaśliwie, prowokując wojsko rosyjskie. Dwustu zabitych i czterystu rannych zaległo ulice Warszawy. Co się tyczy narodowości poległych, to autor (Z. L. S.) dzieła p. t. „Historja dwóch lat 1861—1862", (t. II, str. 344) wymienia zaledwie trzy nazwiska żydowskie. Pozostali byli to Polacy, synowie ludu staromiejskiego.

Potoki przelanej krwi nietylko nie zalały żarzącego się ogniska wulkanu, ale podsyciły je niejako i wzmocniły. Cóż bowiem znaczyło dla Karola Majewskiego, Jürgensa, Jarmunda i innych neofitów, faktycznych kierowników krwawej manifestacji, nie pokazujących się zresztą wśród demonstrujących tłumów, paręset trupów polskich? Cel główny t. j. podniecenie i chęć zemsty w masach został osiągnięty. W parę tygodni potem cała niemal Warszawa została pokryta siecią organizacji, mającej już wyraźny charakter spisku. Większość kół tej konspiracji składała się z gorących zapaleńców, rekrutujących się z młodzieży różnych warstw społecznych, gotowych choćby nazajutrz rzucić się na Moskali. Starano się oddziaływać na prowincję. Z chłopem się nie wiodło, ale mieszkańcy różnych miasteczek Królestwa masowo garnęli się do tworzonych kół.

Stosunkowo łatwo udało się „mechesom" spopularyzowanie idei walki zbrojnej z Rosją wśród przedstawicieli zamożnych sfer polskich. Dzięki staraniom Jürgensa powstała na gruzach Towarzystwa Rolniczego organizacja nowa, nawpół tajna, którą dla jej umiarkowania przezwano „Białą". Na czoło Białych wysunęli się w krótkim czasie: Leopold Kronenberg, którego podejrzewano, nie bez podstaw zresztą, iż on to głównie przyczynił się do rozwiązania Tow. Roln., Karol Majewski, Jürgens, Aleksander Kurtz, wielki przyjaciel Enocha i Władysław Zamoyski. Dzięki zaagitowaniu przez Karola Majewskiego dwu zapalonych ziemian: Kołaczkowskiego i Siemieńskiego, do nowozałożonej organizacji przystąpiła młodsza generacja ziemiaństwa, zdezorjentowana po skasowaniu Tow. Roln. i idąca od tej pory na pasku nienawidzących jej „mechesów". Mieli też powodzenie Biali wśród bogatego mieszczaństwa warszawskiego, przeważnie pochodzenia żydowskiego. Przywódcy Białych nawiązali ścisły kontakt z t. zw. „Biurem Polskiem", które, powstawszy w 1860 r., mieściło się w „Hotelu Lambert". Należeli do niego m. in. Ludwik Wołowski, Leon Kapliński i Juljan Klaczko.

Zaabsorbowawszy uwagę społeczeństwa, grupującego się w poszczególnych organizacjach, przygotowaniami do zbrojnej walki z zaborcą, przystąpili przywódcy neoficcy do dalszej „pracy". Dążyli oni do jaknajwiększego skłócenia najpoważniejszych ugrupowań politycznych w kraju, t. j. Czerwonych i Białych. Dokonać miał tego Karol Majewski, stanowiący niejako ogniwo między Czerwonymi i Białymi, do spółki z Leopoldem Kronenbergiem, o którym Z. L. S. pisze („Historja dwóch lat 1861 — 1862", t. III, str. 299), że „we wszystkich partjach miał swoich ludzi". Na zebraniu przywódców Białych, Kronenberg, w którego mieszkaniu odbywało się posiedzenie, zgłosił wniosek, ażeby wydać w ręce Wielopolskiego głównych działaczy Czerwonych. W ten sposób miano dopomóc margrabiemu do pacyfikacji kraju. Po dłuższej dyskusji projekt Kronenberga, gorąco poparty przez Jürgensa, został przyjęty. Miał to uczynić Karol Majewski, orjentujący się najlepiej co do składu osobowego kierowników Czerwonych. W pałacu Brühlowskim, gdzie rezydował Wielopolski jako naczelnik rządu cywilnego, toczyły się rozmowy między Majewskim a margrabią w obecności Kronenberga. Pertraktacyj powyższych nie doprowadzono do skutku. Doszły one jednak do uszu bacznych na wszystko Czerwonych. Przyczynił się do tego głównie Majewski, który informował ich stale o poczynaniach Białych. Zawrzała słusznym gniewem brać szeregowa Czerwonych, nie orjentująca się w prowokatorskich poczynaniach „mechesów", dążących do rozbicia społeczeństwa polskiego. Od tej pory uważała ona Białych

za wrogów bardziej niebezpiecznych, niż Moskale i Niemcy.

Do opanowania pozostawała jeszcze masa chłopska, niechętnie naogół nastrojona względem żydostwa. Zdaniem przywódców neofickich, trzeba było zwrócić uwagę wieśniaków w inną stronę. Bardzo ciekawy w tym względzie jest przegląd Karola Majewskiego, wypowiedziany na jednem z zebrań przyszłych kierowników powstania, że „niech na Białorusi lub gdziekolwiekbądź chłopi zarzną z pięciu szlachciców, a wtedy kwestja ta sama się rozwiąże prędko i stanowczo” (Z. L. S. „Historja dwóch lat 1861 — 1862”, t. III, str. 482). Powiedzenie to tak się podobało Jürgensowi, że przy najbliższej sposobności uściskał serdecznie Majewskiego. Opinję ich podzielali liczni działacze Czerwonych, jak to: Löwenhardt, Henryk Wohl, Jarmund, frankista Zwierzchowski, będący zarazem na usługach policji rosyjskiej i inni. Uważali oni, że powstanie należy rozpocząć od krwawego przewrotu społecznego. „Chamski Ereb” miał uderzyć na szlachtę. Zdaniem neofitów naród polski, „chcąc dosłużyć się ojczyzny, wypławić się naprzód musi w krwi własnej potokach” (Z. L. S. „Historja dwóch lat 1861 — 1862”, t. I, str. 189). To też w krótkim czasie rozpoczęła się intensywna agitacja między wieśniakami, skierowana przeciwko szlachcie. W lasach podlaskich, w wielkich borach świętokrzyskich i suchedniowskich, i wielu innych okolicach Królestwa i Litwy pojawili się tajemniczy emisarjusze, o których Giller pisze („Historja powszechna Polski”, t. II, str. 365 — 367), że byli to „agitatorowie socjalni, zwani leśnikami, przygotowujący zaburzenia społeczne”. Demagodzy ci, będący wysłańcami Czerwonych, zacietrzewieni wrogowie szlachty, nie oszczędzali tej ostatniej w swych pogawędkach z chłopami, malując ją w kolorach najczarniejszych. Unikali oni jaknajstaranniej dworów i ludzi wykształconych, obcując tylko z ludem prostym. W stałym kontakcie z tymi agentami byli żydzi, mieszkający w miastach, w pobliżu tych miejscowości, w których ukrywali się „leśnicy”. Synowie Izraela komunikowali im wszelkie wiadomości i ostrzeżenia, jak to miało miejsce przed rewizją, dokonaną z rozporządzenia władzy w ziemi lubelskiej. W Warszawie zaś zaczęła krążyć anonimowo sporządzona lista osób „złej wiary”, t. j. złych Polaków, podająca częstokroć nazwiska ludzi najszanowniejszych i najuczciwszych.

Podjudzanie włościan przeciwko szlachcie szło na rękę zamiarom wojskowych rosyjskich, pochodzenia niemieckiego. Agitatorom Czerwonych przychodzili często z pomocą przebrani oficerowie moskiewscy. Tak w ziemi miechowskiej podjudzał chłopów przeciwko dziedzicom major baron von Osten-Sacken, godny towarzysz prowokatorów: Salisa Rozengolda, Władysława Krzyżanowskiego i innych.

Do zaognienia stosunków wewnętrznych w kraju przyczyniała się też bardzo spekulacja żydowska. Istniejący w Królestwie bilon, w ilości trzech miljonów rubli, nie mógł uczynić zadość potrzebie zamiennej, zwłaszcza że żydzi wycofywali go powoli w celach spekulacyjnych. Przyszło do tego, że za zmianę rubla papierowego na srebro lub miedź, synowie Izraela pobierali 70%, a często i więcej, co oczywiście odbijało się głównie na kieszeni ludzi ubogich. Pozatem żydzi, korzystając z tego szczególnego położenia, zaczęli wypuszczać swe znaczki, mające charakter solawekslu. Była to istna plaga, która na prowincji przybrała niebywałe rozmiary. Doszło do tego, że właściciel sklepiku z tytoniam lub guzikami, posiadający całej fortuny złp. 300 lub 400, wypuszczał nieraz różnokolorowych znaczków papierowych na tysiąc i więcej złotych. Następnie tacy kupcy żydowscy umyślnie bankrutowali, by uniknąć wypłaty za puszczone w obieg papierki. Wszystko to wywoływało zamęt niesłychany w stosunkach handlowych, zwiększany przez samowolne ogłoszenia przekupionych urzędów policyjnych, które nakazywały przyjmowanie znaczków. Taki stan rzeczy najdotkliwiej dawał się odczuwać wieśniakom, którym szlachcic wypłacał z braku bilonu solaweksIami za robotę. Znaczki wymieniał chłopom żyd-arendarz, i to przeważnie na wódkę, pobierając przytem procent lichwiarski. Wszystko to musiało budzić w wieśniakach poczucie głębokiej niechęci i oburzenia.

Lud, odpowiednio poinformowany przez arendarzy, którzy w ten sposób chcieli m. in. odwrócić od siebie zasłużony odwet ciemnych mas, przypisywał brak monety zdawkowej „buntom ciarachów”.

Szczucie chłopów na szlachtę spowodowało ogłoszenie odezwy przez duchowieństwo płockie, dzięki któremu rozwinęły się w swoim czasie najwięcej bractwa wstrzemięźliwości. Czcigodni kapłani ostrzegali lud polski, by nie wierzył podszeptom nieprzyjaciół kraju, starających się przez rozdwojenie rzucić kość niezgody. Obywatelskie stanowisko przedstawicieli duchowieństwa katolickiego nie mogło spodobać się neofickim przywódcom Czerwonych. Dopuszczono się więc za namową agitatorów Czerwonych gwałtów fizycznych w stosunku do poszczególnych kapłanów. Tak w Łęczycy został obrzucony kamieniami przez tłum, złożony przeważnie z żydów, biskup kujawsko-kaliski Marszewski, jadący przez miasto karetą.

Z iście semicką zajadłością zaczęli też zwalczać chrzczeni i niechrzczeni żydzi arcybiskupa Felińskiego. Dawny powstaniec z pod Miłosławia, pokiereszowany w walkach z Prusakami, nie dał zastraszyć się Karolowi Majewskiemu, który zjawił się u niego na czele delegacji Czerwonych. Głośnem echem odbiła się w kraju i zagranicą odpowiedź, którą dał arcypasterz aroganckiemu „mechesowi”, komunikującemu, że w organizacji Czerwonych wiele poważnych stanowisk zajmują żydzi. Brzmiała ona jak następuje: „żydzi są przez Boga nasłani do Polski, aby byli rynsztokiem, odprowadzającym w epoce giełdy, handlu i szwindlów wszystkie brudy, któremi czyste, rycerskie i do innych celów przeznaczone ręce polskie, kalać się nie powinny” (Z. L. S. „Historja dwóch lat 1861—1862”, t. IV, str. 89). Od tej chwili rozpoczęła się nieubłagana walka żydostwa z arcybiskupem Felińskim. Nastawieni odpowiednio przywódcy Czerwonych szkalowali publicznie arcypasterza. Puszczono wiadomość, że ks. Feliński „przez Moskwę i Rzym zasadzony jest pospołu, aby ruch polski wydać carowi”. Zwano go zdrajcą, biskupem moskiewskim, porównywano do Siemaszki. Zainteresowano osobą arcybiskupa prasę zagraniczną, która nazywała prekonizację ks. Felińskiego „weselem w piekle”. Nie oszczędziła też arcypasterza polska prasa zakordonowa, uzależniona od kapitału żydowskiego.

STANISŁAW DIDIER

O NIEWOLĘ SZTUKI

Stefanowi Szumanowi, prof. na uniwersytecie Jagiellońskim, w odpowiedzi na jego broszurę: „Rzecz o zjawisku śmierci w sztuce".

O Polsko! Wiem ja, że artystów czołem
Są męczennicy. Tych sztuka popiołem.

Norwid — „Promethidion"

ARTYSTA malarz, czy rzeźbiarz, który wchodzi do poświęconego budynku kościelnego i ściąga rękę, by rzeźbić lub malować, musi dobrze zdawać sobie sprawę z tego, co czyni. Niedość, że artysta taki musi uświadamiać sobie, jaka jest jego pozycja, jego jako człowieka w tym oto kościele, do którego wstąpił, ale musi też doskonale rozumieć, w jakim stosunku znajduje się do świętości kościoła i jego bożyszcze, czyli jego sztuka. Musi dobrze rozumieć, że mury, na których ma rzeźbić lub malować, trzymają się na zaprawie wapiennej, do której domieszana jest krew Pana Jezusa i tysięcy męczenników. Jeżeli artysta będzie to rozumieć, sztuka jego będzie skromna, natchniona, prawdziwa i wielka. Jeśli zaś artysta tego nie zrozumie, praca jego będzie zła, nieużyteczna, a nawet świętokradcza. Będzie to „sztuka dla sztuki", potworzą się na ścianach i kolumnach jakieś ciała obce, narośle, brudy, nowotwory, które zeszpecą budynek.

Dzisiaj w Polsce nikt niczemu się nie dziwi, to też nie dziwią się dzisiaj ludzie, że ten czy inny artysta, zupełnie obojętny pod względem religijnym, nawet wolnomyśliciel, rozprawia o sztuce kościelnej, albo jeszcze lepiej, poprostu bierze obstalunki, wchodzi na rusztowanie i maluje na poświęconym tynku. W roku 192... wystawę polskiej sztuki religijnej w Wenecji organizował i zbierał na nią prace p. Huzarski — żyd. Fakt ten też naogół nie wywołał w Polsce... większego zdziwienia.

Taki stan rzeczy jest wynikiem wadliwego traktowania sztuki, w której zaniedbuje się jej stronę ideową. Owszem, odwrotnie, wśród artystów dzisiejszych bardzo jest rozpowszechnione zdanie, że wartość ideowa sztuki, czyli „treść literacka", jak to oni pogardliwie nazywają, jest nietylko czemś mniej ważnem od jej strony formalnej, ale nawet czemś zgoła bezwartościowem. Często też daje się słyszeć, że „treść literacka" w tym czy innym obrazie jest tylko pretekstem do tego, żeby malować, atoli celem samego malowania jest owa abstrakcyjna kompozycja kształtów i barw, która się wykrystalizowuje przez malowanie na prostokącie obrazu. I artysta dzisiejszy wyśmiewa się z przeciętnego obywatela, gdy ten, przyszedłszy na wystawę, zdumiony stoi przed obrazem i zapytuje: „co to ma znaczyć?" A trzeba przyznać, że obywatel ten mądrzejszy jest od artysty, bo chce wiedzieć, co dane dzieło sztuki ma wyobrażać, pragnie poznać ideową stronę dzieła sztuki.

Nie można wdawać się tu w obszerną i skądinąd bardzo ciekawą analizę genezy tego, tak dziwacznego, a rozpowszechnionego i panującego wśród artystów poglądu, że sztuka to wyłącznie — strona formalna. Trzeba zaznaczyć tylko, że pogląd ten został ostatecznie wytworzony w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu znalazł doskonały swój wyraz we wszystkich t. zw. kierunkach, czyli „izmach", jako np. impresjonizm, ekspresjonizm, futuryzm, kubizm i t. d., i t. d., w których, zaznaczam to wyraźnie, ani jednem słówkiem, ani jedną jotą nie wspomina się nigdy o stronie ideowej sztuki, a tylko o tem, jak ma być 'obraz zrobiony. Pogląd ten dokonał już swego pozytywnego dzieła i powinien być teraz zaliczony do epoki minionej.

Wartość tego dziwacznego, materjalistycznego ujęcia sztuki polegała na tem, że artyści, wpatrzeni wyłącznie w same farby i rysunek, nauczyli się pewnych rzeczy, którychby nie mogli prawdopodobnie uświadomić sobie na innej drodze. Ale dzisiaj czas już pogląd ten porzucić.

To też uwagi poniższe piszę nietylko dla dobra tej idei i treści, którą sztuka opuściła, niby syn marnotrawny swój dom rodzinny, ale i dla dobra samejże sztuki, która, nieożywiona służbą dla idei, istnieć nie może. Sztuka bowiem ma właściwość, iż psuje się, jeśli traktujemy ją z nadmiernym pietyzmem, nadmiernie estetyzując, jako rzecz samą dla siebie, jako rzecz wolną i suwerenną. Podobnie ciało nasze bezwątpienia będzie słabe i niezaradne, jeśli będziemy mu nieustannie dogadzać i pielęgnować je nadmiernie. Dobrym tu przykładem jest znany fakt, że społeczeństwa, dbające o wielką hygjenę, wykazują zwyrodnienie rasy. A dzisiejsze estetyzowanie w zakresie sztuki podobne jest bardzo do nadmiernej hygjeny w stosunku do ciała. I pożyteczny czasami jest dla ciała ciężki, długotrwały post, albo nawet i biczowanie aż do krwi, a więc praktyki, zdawałoby się, najzupełniej niehygjeniczne i tak samo dobre jest dla sztuki w takim czy innym wypadku zlekceważenie jej strony formalnej, w imię idei, którą ma ta forma wyrażać. I oto podobnie, jak okrutne praktyki ascetyczne względem swego ciała mogą nagle dać temu ciału siłę i zdrowie, podobnie i zlekceważenie, złamanie formalnej strony sztuki może nagle dać jej nowe, olbrzymie piękno i to nietylko pod względem jej siły ideowej, ale zarazem pod względem jej doskonałości formalnej. I dodam tu, że każdy twórca, każdy artysta musi mieć w sobie dzielność i odwagę, żeby lekceważyć formę i ją łamać.

Ale stać się to może tylko wówczas, jeśli nie będziemy się ze sztuką cackać, nie będziemy jej traktować jako rzeczy suwerennej i zaprzęgniemy ją do służby. Bo przecież i praktyki ascetyczne, choć zdrowe dla naszego ciała, nie dla jego zdrowia są wykonywane.

I teraz oto należy zapytać, komu ma sztuka służyć.

Cytat z jasnowidzącego, choć niezbyt nieraz jasno mówiącego Norwida, przytoczona na początku tego artykułu, określa w sposób bezwzględny hierarchję poczynań ludzkich i degraduje czynienie sztuki o szczebel niżej od czynienia męczeństwa. Trudno oświetlać tu całą przepaścistość tego norwidowskiego zdania, wszakże trzeba stwierdzić, że jest to wcale nie metafora poetycka, ale potężna i przenikliwa definicja. Norwid mówiąc, że męczennik jest czołem artysty i że sam jest też jakgdyby artystą, bo ma sztukę, którą jest popiół, to znaczy jego własne ciało oddane na śmierć, określa nadzwyczajnie przenikliwie zależność, jaka jest pomiędzy większą rzeczą — męczeństwem i mniejszą — sztuką. I nietylko określa tę ich zależność, ale owszem ustala i najściślejszą analogję pomiędzy niemi i pokazuje, że są one jakgdyby przedłużeniem tego samego przedmiotu i że jedna z nich jest jakgdyby powtórzeniem drugiej, ze wszystkiemi jej cechami charakterystycznemi, tylko w odpowiednio zmniejszonej amplitudzie, jakgdyby w nieco stonowanych barwach, w nieco ściemnionem, zatartem odbiciu — tak jak bywa odbicie w tafli wodnej, poruszonej delikatnym wiatru podmuchem. Artysta jest jakgdyby niedoszłym męczennikiem, męczennikiem, który dla swojej słabości nie dopełnił męczeństwa, męczennikiem p o z o s t a w i o n y m na ziemi, męczennikiem, który oparł się tej sile mistycznej, co porywa ludzi niby trąba powietrzna z ziemi do nieba. I oto artysta ciągle tylko opowiada o tej podróży, w którą miał przecież z innymi się udać.

Opierając się na tem, łatwo pojąć, że służenie męczeństwu jest nietylko rolą właściwą sztuki i jej przeznaczeniem, i nietylko rolą jedyną, i nietylko jedyną możliwą formą jej istnienia, ale i jakgdyby jej istotą i nieodłącznym od niej atrybutem.

A żadna instytucja nie jest mocniej oparta na zasadzie męczeństwa — jak właśnie Kościół. Skoro tak, sztukę trzeba oddać w niewolę Kościoła, to znaczy odesłać ją tam z powrotem, skąd wyszła. Bo przecież Europa otworzyła wrota swych katedr, a z nich uciekła sztuka i pęta się bezdomna do dzisiaj. I nigdzie, od początku świata, nie było tak w żadnej cywilizacji, w żadnej rasie, czy na wschodzie czy na zachodzie, żeby sztuka, a zwłaszcza wielka, nie służyła religji. Tak m a n j a c k o powtarzająca się zależność pomiędzy religją a sztuką poprzez wszystkie wieki, nie może być oczywiście przypadkiem. Niema tu miejsca na rozważania, czy wszystkie religje wogóle są oparte na męczeństwie, ale już pod tym względem nikt nie może mieć wątpliwości w stosunku do religji naszej, europejskiej, której przecież godłem jest narzędzie tortur.

*

* *

Rozumie się, prawda ta o zależności sztuki od Kościoła musi nieznośnie dokuczać ludziom wolnomyślnym a myślącym, którzy pracują dla sztuki i kochają ją. Prawda ta nietylko musi, ale i powinna im dokuczać jaknajzłośliwiej i zdaje się niedaleka już jest chwila, gdy ci bezbożnicy, ale prawdziwi artyści, szczerze wielbiący sztukę, po pogłębieniu tejże sztuki natrafią na jej fundamenty, jej źródło i jej szczyt, które stanowi religja. I rzeczywiście zamieszanie i zbiedzenie wśród artystów jest dzisiaj wielkie, ludzie ci nie znajdują dla siebie miejsca ani zastosowania i robi to prawdziwie wrażenie, że są w przeddzień jakiegoś wielkiego odkrycia. I nikt nie wymaga od nich bynajmniej, żeby wierzyli na słowo, a tylko, żeby pracowali dla sztuki i nadal, tak jak dotąd, to znaczy tak, jak umieją, to znaczy ofiarnie, zapalczywie, p r z e b i e g l e i w zachwyceniu, żeby pracowali pomimo wszystko, a zrobią to odkrycie. Albowiem ten, co wstępuje po ścianie piramidy, zawsze dochodzi do jej szczytu.

Jednak sądzimy, że i druga strona, t. zn. Kościół, powinna sięgnąć po sztukę tak, jak ktoś sięga, pochyliwszy się, po upuszczony na podłogę klejnot.

I trzeba przyznać, że w ostatnich paru dziesiątkach lat zaznacza się ze strony duchowieństwa coraz większe zainteresowanie sztuką i zrozumienie jej wartości. To się przejawiło między innemi we wprowadzeniu do seminarjów duchownych historji sztuki, jako przedmiotu obowiązującego. Również fakt zalecenia przez biskupów polskich, by kościoły były malowane na gładko bez ornamentyki lub kompozycyj figuralnych celem uniknięcia szpecenia świątyń bezwartościową tandetą, należy uznać za znamienny objaw rozwoju świadomości plastycznej wśród duchowieństwa katolickiego. Ale faktem najwybitniejszym w tej dziedzinie trzeba stanowczo nazwać zarządzenie wydane przed kilkoma laty przez Ojca Św. w sprawie rugowania z kościołów wszelkiej muzyki, z wyjątkiem najpoważniejszej, do której zaliczona została muzyka prawdziwie religijna i związana jaknajdoskonalej z kultem, mianowicie „Chorał Gregorjański". Nie bawiąc się w wydawanie opinij w stylu proroczym, ośmielamy się twierdzić, że powyższe zarządzenie Piusa XI-go trzeba zaliczyć do olbrzymich zjawisk w kulturze Europy dwudziestego wieku. Trudno się oprzeć zadowoleniu, gdy się pomyśli, że odtąd nie będzie już więcej w kościołach zmysłowej i czułostkowej muzyki, i opasłych śpiewaków, i ich słodkich do obrzydliwości głosów, i ich niemądrych aryj operowych.

A jednak pomimo całego uznania jakie żywimy do tych najsprawiedliwszych zarządzeń, sądzimy, że jest to wstęp zaledwie do jeszcze daleko bardziej zdecydowanych i fundamentalnych. Z drugiej strony nikt nie powinien dziwić się, że Kościół działa ostrożnie, powoli i oględnie w leczeniu zwyrodnienia sztuki religijnej, które od tylu długich stuleci postępowało tak konsekwentnie.

I oto chodzi nam o rzecz jeszcze bardziej doniosłą, która zresztą i jest główną myślą niniejszego artykułu, a mianowicie chodzi o to, żeby duchowieństwo nie poprzestawało tylko na oczyszczaniu kościołów od niewłaściwości i szpetot, to znaczy, żeby nie ograniczało się do roli negatywnej, ale żeby stało się podstawą i kręgosłupem dla zdezorjentowanego dziś świata artystów, żeby się stało artystów c z o ł e m, żeby Kościół stał się dla nich, jak było ongiś, natchnieniem, żeby skupił ich koło siebie i zaktywizował.

Sztuka to owocowanie dusz i serc ludzkich, które Kościół powinien w narodach wzbudzić i w siebie w e z b r a ć.

(Dok. nast.) LEON MACIAŃSKI

NA WIDOWNI

Ze wspomnień o ś. p. Wojciechu Górskim. — Obrazek szkolny z przed 60 lat. — Rózgi, moczone w wodzie. — Opowieść serca dziecięcego i morał o sercu pedagoga.

POSTAĆ ś. p. Wojciecha Górskiego zarysowana już jest wyraziście w opinji publicznej. Przyczyniły się do tego obecnie żałobne życiorysy i ogłoszone w prasie wspomnienia. Był to znakomity pedagog i wogóle niepospolity człowiek.

P. Edmund Jankowski powtarza w swojem wspomnieniu sentencję, którą słyszał od Górskiego: „Człowiek kompletny"— mówił Górski —„powinien mieć w porządku trzy rzeczy: serce, rozum i kieszeń. Kieszeń na to, aby mógł wykonać to, co mu nakazuje serce i rozum". Takim człowiekiem kompletnym, rzadko w Polsce spotykanym, był Górski. Nie robił społeczeństwu kłopotu nieporadnością i rozterką między sercem a rozumem. Wykonywał rzeczy, dyktowane sercem, surowo i praktycznie, nie ciążył społeczeństwu, ani go nie demoralizował „dobremi chęciami", lecz umiał wytworzyć z siebie trwałą instytucję społeczną, która dzięki niemu, i bez niego po jego śmierci, żyć będzie w postaci szkoły im. Św. Wojciecha i w postaci wzoru osobistego dla potomnych, jakim człowiek kompletny być winien.

Rzadko widywałem ś. p. Górskiego, ale wiedziałem o nim oddawna, od dzieciństwa, a nazwisko jego działało na mnie magicznie. Każdy człowiek nosi w sercu od dzieciństwa pewne przeżycia, jakieś okruszyny materjału historycznego. Niechże mi wolno będzie pofolgować gadulstwu i taką jedną tajemnicę, której na imię Wojciech Górski, wyjawić.

— — — — — — — — — — — —

Był to pierwszy człowiek, którego się bałem.

Tak dobrze ułożyło mi się dzieciństwo, że dotąd nie bałem się nikogo. Do dziesiątego roku życia, poza rodziną, która mnie pieściła, nie znałem żadnej zależności. Z zapadłej wioski w Świętokrzyskiem dostałem się nagle do Warszawy, do domu stryja, który miał się zająć moją edukacją. Było to w r. 1875. Stryj oddał mnie do renomowanej szkoły, w której uczyli się starsi odemnie jego synowie. Mieszkaliśmy na ulicy Senatorskiej, a szkoła mieściła się niedaleko, na ul. Długiej. Była to szkoła Szmurły — Augustyna Szmurły, jak się później dowiedziałem, słynnego klasyka i pedagoga.

Dzieci, chowane na wsi, późno się rozwijają, są naiwne, jeśli je brać miarą miejską, owszem przerażone tem, co w wielkiem mieście odczuwają. W obcym domu, w jakiejś nie dającej się objąć umysłem dalekości od domu własnego czułem się bardzo nieszczęśliwy. Świat za mną gdzieś się zawalił, nowy — w głowę się nie mieścił. Złe powietrze miejskie odczuwałem jako nieznany sobie dotąd zapach węgla kamiennego. Pierwsze miasto, które widziałem, i do tego takie duże. Jakiś sen niewiarogodny.

Byłem tak oszołomiony, że zagubiła mi się moja mała jaźń. Pierwszego dnia w szkole, gdy mnie sąsiad, jakiś miły chłopczyk, zapytał, jak mi na imię, wymieniłem imię swego ojca. Dotąd nie wiem, dlaczego to się stało. Zapewne niedostatecznie oddzielony byłem duchowo od swego domu. Dotąd dręczę się wstydem, jakiego zaraz potem doznałem, że tak „strasznie" w błąd wprowadziłem swego kolegę i że nie miałem odwagi do błędu się przyznać.

Czułem się jak ptak, do klatki złowiony. Póki okno bywało otwarte jesienią, wychylałem się na podwórze, zamurowane oficynami, aby patrzeć na niebo. Miłym dreszczem przejmował mnie tupot koni, zaprzęganych do powozu. Były to konie p. Kaftala, bo i jego była kamienica. Widziałem błyszczący powóz i śliczne, szpakowate konie. Patrzyłem okiem znawcy, głęboko poruszony, bo nowości w tej uprzęży mieszały się z czułem wspomnieniem naszych koni na wsi i tak uroczystego obrządku zaprzęgania (odrazu siadało się na kozioł). Podziw budziło szczególne zadarcie głów u koni i ich tresura. Kiedy wreszcie stangret w cylindrze ujął lejce, dziwnie nerwowo zrywały się z miejsca, zdzierając bruk podkowami. Tęsknota do wsi nie miała granic.

Nie pamiętam z tych czasów ani jednej osobliwości architektonicznej miasta, oprócz mostu i kościoła św. Antoniego na Senatorskiej. Pamiętam natomiast na tej ulicy jezdnię, wyłożoną taflami żelaznej kraty, po której koła śmiesznie turkotały. Taki sam „bruk" był na moście Kierbedzia. To mnie bardzo frapowało, bo nigdy nie myślałem, żeby na świecie tyle żelaza być mogło.

Więc szkoła. Oddano mnie do klasy wstępnej. Wychowawcą klasy był nauczyciel bardzo dla mnie łaskawy; prefektem był ks. Sierociński, istny anioł, przy którym można się czuć bezpiecznie. Pamiętam jego twarz do mnie uśmiechniętą. Dyrektora Szmurły, zdaje się, na oczy nie widziałem. Jedyną postacią z poza moich nauczycieli, która mi się upamiętniła, był inspektor szkoły, Wojciech Górski.

Słyszałem o nim wiele od braci stryjecznych, i to rzeczy strasznych, bo to była władza wykonawcza na wszystkie klasy. Widywałem go na podwórzu w czasie pauzy, niezmiernie chudego, wysoko wzrostem wyniesionego ponad ciżbę młodzieży. Miał istotnie opinję człowieka srogiego, zresztą dosyć było spojrzeć, że nigdy się nie uśmiechał.

Teraz wiem, jak to było. Szmurło prowadził swój zakład dopiero od paru lat. Przedtem był dyrektorem gimnazjum (do r. 1873). Górskiego musiał znać ze szkół i z opinji w uniwersytecie, skoro świeżo upieczonego matematyka zrobił u siebie nauczycielem, a nawet inspektorem. Rutynowany pedagog mistrzem był Górskiego, ale uczeń był bardziej postępowy, bo niebawem swoją szkołę założył, na innych zasadach wychowawczych opartą, nie tak staroświeckich, jak te, którym hołdował Szmurło[1]).

Młodzieniec chudy, z długiemi czarnemi włotami, doglądając dziatwę, przeżuwał pewno doświadczenia wychowawcze. Myślał już o tem, jak to on z czasem swoją szkołę poprowadzi. A system Szmurły dopraszał się reformy. Zmienił go też Górski w swojej szkole.

System ten był prosty, ale bardzo automatyczny. Podstawą jego był dziennik klasowy, w któ-

---

[1]) Szmurło był podobno znakomitym znawcą filologji klasycznej. Wydał napisaną po łacinie historję literatury rzymskiej, gramatykę łacińską w trzech częściach. Jako adjunkt w Szkole Głównej wygłosił prelekcję habilitacyjną o kulturze greckiej.

rym nauczyciele prowadzili bieżącą cenzurę ucznia. Ocena dziecka była dwojaka. Jedna dotyczyła jego postępów w nauce, druga jego moralności. Wartość wiedzy ucznia oceniano stopniami od jedynki do piątki, moralność trojaką oznaczano w odpowiednich rubrykach literami greckiemi: α, β, γ *(alpha, beta, gamma)*. Pierwsza nota — ile pamiętam — piętnowała ucznia za złe sprawowanie, druga — za brak pilności, trzecia — za nieuwagę. Trzy takie noty ściągały na ucznia karę karceru, trzy zaś karcery pociągały za sobą automatycznie karę chłosty...

Zarówno wymiar kozy, jak i chłosty należały do władzy wykonawczej inspektora. On studjował dziennik, obliczał i asystował przy wykonaniu, nie wchodząc w istotę sprawy i w indywidualność ucznia.

Sobota była dniem sądnym. Taka wtedy była „angielska" sobota. Egzekucja w postaci chłosty odbywała się w izbie parterowej niedaleko naszej klasy. Widzieliśmy przez okno sprowadzanych przez tercjana delikwentów, słyszeliśmy — ze zgrozą dotąd wspominam — krzyki stamtąd dochodzące.

Chłostano rózgami brzozowemi. Aby rózgi były plastyczne i dobrze przylegały, trzymano je cały tydzień w deszczówce, którą stale napełnione były beczki, stojące pod rynnami gmachu szkolnego od podwórza. Kanalizacji jeszcze wtedy nie było, wylot rynien dostosowany był do wysokości beczek, więc mniej więcej do wzrostu sporego chłopca. Pamiętam pierwsze wrażenie, jakiego doznałem, gdy mnie objaśniono, co znaczą owe rózgi w beczce. Trzymałem w ręku taką rózgę i myślałem o tem, jak bolesną rolę spełniać muszą pączki, od wody nabrzmiałe. Odsłaniały się przedemną nieznane dotąd rzeczy, w których bodaj najmniej zrozumiały był dla mnie związek między winą i karą, w rózgach postaciowaną.

Owe krzyki i płacze dochodziły do naszych uszu podczas ostatniej lekcji sobotniej, a była to godzina ks. Sierocińskiego, na której zawsze było cicho, jak makiem zasiał. Pamiętam, dobry ksiądz, widząc moje zdenerwowanie, nachylał się nademną i uspokajał.

Niedługo trwało moje zesłanie warszawskie. Późną jesienią zachorowałem na tyfus. Opowiadano mi, że w malignie zrywałem się, bredząc na temat owych egzekucyj. Skończyło się na tem, że przyjechała matka i zabrała mnie do domu. Nagrodą była podróż niecierpliwa: aby dalej od miasta, aby bliżej domu. Jechało się ekstrapocztą na Raszyn, Białobrzegi, Radom... Pocztyljon miał trąbkę przez plecy zawieszoną i pięknie trąbił.

Tyle mnie w Warszawie widzieli... Aż do uniwersytetu.

— — — — — — — — — — — — —

Wracając do Górskiego, muszę przyznać, że krzywdę mu robiło serce chłopca, kojarzące nierozerwalnie jego osobę ze sprawą chłosty, bo to skojarzenie było samo przez się oskarżeniem. Później dopiero przyszła wiedza historyczna, że nie on był winien, lecz system. Wiele sposobności miałem potem po temu, żeby stwierdzić, iż był to człowiek sprawiedliwy i humanitarny, człowiek kompletny, który potrafił wykonywać, co mu nakazywały rozum i serce.

Przyznaję na zakończenie, że nie umiałbym wyciągnąć morału ze swojej opowieści. W żadrazie morałem tym nie byłby wniosek, że dzisiejsi pedagogowie mają więcej dla dzieci serca, niż go miał Szmurło. Zapewne, nie był rozumny w karaniu automatyzm, ale to pewna, że więcej miłości dla dziecka okazuje szkoła surowa, niż liberalna, w której nie tyle się dba o dobro dziecka, ile o to, żeby wychowawca wyglądał pięknodusznie.

Zwłaszcza w obecnej dobie wszelkie dyskusje na temat systemów wychowawczych, mających na celu dobro dziecka, wydają mi się bezcelowe. Teraz bowiem wychowanie ma co innego na oku, mianowicie, w jaki sposób z młodego pokolenia zrobić maksymalny użytek polityczny. Można spierać się, czy system trzech liter greckich za czasów Szmurły był dobry, ale praktycznie sprawa upada, skoro wymyślono zupełnie nową notę, która kasuje wszelkie inne, zarówno w rubryce postępów naukowych, jak i moralności ucznia. Tresura na użytek gry politycznej, jako zasada wychowawcza, usuwa z porządku dziennego wszystkie zagadnienia właściwego wychowania i właściwej edukacji. Pedagogowie nie mają dzisiaj nic do gadania, dzieci bowiem zajęto czem innem, na czem oni się nie znają. W łańcuchu pokoleń następuje przerwa, zapełniona musującym politycznie surogatem ludzi, którzy w poczuciu swej pustki duchowej i umysłowej bredzić będą o potrzebie dostarczania społeczeństwu gotowej kultury przez państwo, szkoła bowiem nie rzuciła im w duszę żadnych zarodów kultury.

Tak jest. Krzywda cielesna wobec takiego systemu była raczej pieszczotą. Najcięższą z krzywd jest pokrzywdzenie duszy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

SIŁA SYMPATYJ POLSKO-FRANCUSKICH UJAWNIŁA SIĘ bardzo efektownie ostatniej soboty. Elita towarzyska i umysłowa stolicy napłynęła bardzo licznie do auli uniwersytetu, aby posłuchać odczytu ks. Ludwika de Broglie o nowych pojęciach podstawowych fizyki nowoczesnej. Stojący zatarasowali przejścia. Przedstawicieli sfer towarzyskich nie zraziła okoliczność, że gość był profesorem; filozofów i literatów nie zniechęciło to, że mówił o fizyce. Wszystkim pilno było usłyszeć znakomitego Francuza. Prelegent czytał bardzo cicho. Zapatrzeni i zasłuchani, entuzjaści polsko-francuskiej przyjaźni, w jej imię przesiedzieli bez ruchu godzinę. Odczyt, zorganizowany przez stowarzyszenie „*Alliance Française*", stał się raczej rewją sił społecznych, obstających przy tradycyjnem przymierzu obu krajów, niż żywiołowem zbiegowiskiem zwolenników teorji kwantów. Rewja, sądząc z wszelkich pozorów, wypadła imponująco. Jakże duży, mądry, wpływowy zastęp wiernych przymierzu członków naszej elity społecznej! I jakże odmienna rzeczywistość od pozoru! Na widok zgromadzonej sumy pozycyj towarzyskich i stanowisk nieodparcie cisnęła się refleksja, jak niewiele znaczą ci wszyscy wyborowi przedstawiciele społeczeństwa: jak mało waży ich opinja i jak nikły jest ich wpływ na bieg spraw publicznych w naszem państwie. Doszło przecież do tego, że niema zagadnienia w polityce, któreby nie było dla towarzystwa starych kiwonów zbyt trudne. Nie śmieją wyrzucić zdania w najbardziej elementarnych sprawach. Cóż może być prostszego, niż

kwestja, czy naród utrzymywać ma dobre stosunki ze swoim jedynym potężnym sprzymierzeńcem? A przecież, kiedy zagadnienie to w praktyce stało się palące, gdy dla wszystkich stało się jasne, że sojusz polsko-francuski psuje nieumiejętność polityczna, czy dały się słyszeć życzenia i krytyczne głosy tej elity? Czy zdobyła się na jakiekolwiek samodzielne stanowisko? Niestety — te sfery towarzyskie i urzędnicze nie reprezentują żadnego zdania. Teorja kwantów jest dla nich zagadnieniem zbyt trudnem, pakt wschodni też zbyt specjalnem. Rezygnują z tego, co na zachodzie Europy uważa się za najbardziej nieodłączny przywilej inteligencji i ludzi prostych: ambicji, żeby samodzielnie myśleć i coś rozumieć. Jak egzotyczni — i jak dalecy od polskiej tradycji! Wszystko w dziedzinie spraw publicznych stało się dla nich zbyt specjalne, zbyt polityczne. Wzamian rozwinęła się technika przymilania się i zastąpiła inne atuty polityczne, z pełnym sukcesem w kraju w stosunku do rządzących. Czy taka sama jednak technika wystarczyć może także do pielęgnowania sojuszów?

NAUKA i LITERATURA

„DRAMA" POLSKA

TEATR nowożytny w Polsce nie miał zbyt wielu badaczów. Dotychczasowy kierunek tych studjów, zasłużonych prawdziwie i cennych, przyjął za podstawowe metody historyczno-literackie. Największą ciekawość obudził w ten sposób tekst literacki i jego bohater: autor dramatyczny; analiza tekstu, podlegająca wszelkim prawom filologicznego opisu, wydała się rzeczą główną.

Wyniki uzyskane, jakkolwiek rekonstruowały linję repertuaru teatralnego, dostarczyły więcej materjału historji literatury, aniżeli historji teatru. Rozwijające się wśród tego poszukiwania archiwalne zdołały wydobyć wiele cennych realjów i dokumentów do dziejów literatury na scenie, a także szczegółów biograficznych z życia stanu aktorskiego. Miał to być wątek opracowań monograficznych.

Tak zatem historyczna wiedza o teatrze, badając niemal wyłącznie jeden tylko element złożonego zespołu widowiska (tekst autora), zubożyła życie teatralne o motywy inne, równie doniosłe, choć mniej dzisiaj uchwytne. Jeżeli np. szczęśliwym trafem archiwalnym znaliśmy aktora w życiu, czy w anegdocie, niemal z reguły nie znaliśmy — w roli. Sprawy dla historji sztuki teatralnej najbardziej istotne (przymierze autora z wykonawcą — inscenizatorem, aktorem, a jednocześnie z widzem, z publicznością), ów trójkąt równoboczny kultury teatralnej — ukazywano fragmentarycznie i przygodnie.

Ogłoszona niedawno praca Bohdana Korzeniewskiego „Drama" w warszawskim Teatrze Narodowym podczas dyrekcji L. Osińskiego (1814 — 1831), jako nr. 11 studjów z zakresu historji literatury polskiej, zaciekawia przedewszystkiem nowością metody i ujęcia[1]). Zadaniem pracy uczynił autor nakreślenie życia teatralnego dramy we wczesnym okresie romantyzmu. Zadanie to, wykonane ze świadomym zamiarem konstrukcyjnym, polegało nietylko na opisie rodzaju teatralnego, jak go pozwalają rozumieć dochowane dzisiaj teksty; szło głównie autorowi o demonstrację dramy na scenie. Konflikt interesujący czasów (walka romantycznej dramy z klasyczną tragedją) zawierał znacznie więcej, aniżeli spór teoretyczny z dziedziny poetyki.

[1]) O książce powyższej zamieściliśmy już w ubiegłym roczniku notatkę krytyczną. Pragnąc oświetlić rzecz możliwie wszechstronnie, uzupełniamy ją niniejszemi uwagami (Przyp. Red.).

Przemiana kulturalna, o głębszym sensie i uzasadnieniach, dokonana na tym odcinku repertuaru teatr, pozwala nakreślić zarysy dwóch epok, z których jedna ustępuje miejsca drugiej; oto romantyzm dramy przeniknie ze sceny do literatury i życia, powoła własne pokolenie — romantycznych poetów, polityków i żołnierzy. Klasycyzm tragedji, skazany na dożywocie mężów stanu Królestwa, coraz bardziej nabiera walorów historycznych. Zagadnienie całkowitej przemiany upodobań teatralnych epoki nie jest jedynym wątkiem książki.

Drama zwycięża tragedję; historyk teatru radby poznać sposoby tej walki. Cała uwaga autora, kontrolowana przez subtelną analizę źródeł, zmierza do pokazania współczesnego przedstawienia teatralnego. Wszelkie elementy widowiska — pracę inscenizacyjną teatru, a także zmienną reakcję publiczności, współtwórczej w teatrze — wszystko to w ramach przedstawienia dramy rekonstruuje autor z doskonałem poczuciem stylu i epoki. Na tem właśnie polega całkowita nowość metody pracy; teatr w interpretacji książki — to nie jest lektura tekstu, rozpisanego do grania, ale ożywiony i rozmaity zespół czynników, które organizują przedstawienie teatralne równie dziś, jak przed laty.

Rozejrzyjmy jeszcze ujęcie przez autora materjału studjum. Ujęcie to poprzedza drobiazgowa, analityczna ocena źródeł. Wysiłek konstrukcyjny pracy podążył jednak poza schematy analizy. Potraktowanie dramy ówczesnej, jako całości treściowej i artystycznej, pozwoliło na demonstrację rodzaju w sposób zwarty i jedynie przekonywujący; punktem wyjścia uczynił autor jedność gatunku, nie zaś chronologję, czy pochodzenie tekstów. Korzyść naukowa tej postawy badawczej jest niewątpliwa; jasna i precyzyjna systematyka dramy (r. 3) wynikła konsekwentnie z tych właśnie założeń autorskich, (znakomitym przykładem podobnego ujęcia materjału może być niedawny „Romans polski wieku XVI" prof. Krzyżanowskiego). Ale stanowisko monografisty dramy zapewniło mu jeszcze sukces pisarski. Ujęty w zespole materjał książki, skomponowany jak obraz literacki, ożywiony współczesną anegdotą, czy karykaturą, jest artystycznem osiągnięciem autora. W postawie podobnej można odnaleźć kierunki powszechniejsze, które wyrażają najlepiej pisma prof. Ujejskiego.

Charakteryzując linje ogólne książki Korzeniewskiego, pominąć już musimy zdobycze szczegółowe (np. rodowody typowych motywów literatury romantycznej z dramy). Uzasadnienia ceny i wartości pracy nie szukajmy w obserwacjach przygodnych. E. P.

Z DZIEJÓW REFORMACJI W LUBLINIE

NIE JEST jeszcze dostatecznie opracowana historja rozwoju i upadku reformacji w Polsce. Nie istnieje praca, stojąca na wysokości wymagań współczesnej nauki, a obejmująca całokształt tego ciekawego i tak ważnego w naszych dziejach zjawiska. Dawniejsze z XIX wieku monografje W. Krasińskiego i ks. J. Bukowskiego (z których pierwsza ujmuje rzecz z protestanckiego, druga z katolickiego punktu widzenia), aczkolwiek do dziś wartościowe dzięki zgromadzonym w nich materjałom, są już mocno przestarzałe. W ostatnich dziesięcioleciach badania, poświęcone reformacji polskiej, postąpiły znacznie naprzód. Liczne grono historyków, z prof. St. Kotem na czele, posunęło bardzo naprzód te studja. Ukazał się cały szereg monografij i rozpraw, powstało specjalne czasopismo, poświęcone tym badaniom („Reformacja w Polsce"[1])), w którem ukazały się liczne przyczynki, dotyczące tych spraw. Dzięki tym pracom udało się wyświetlić niejedno zdarzenie z dziejów protestantyzmu polskiego, scharakteryzować ważniejsze postacie tego ruchu i ustalić przeróżne związki ideologiczne i polityczne, wiążące reformację polską z Zachodnią Europą.

[1]) Od paru lat ze względów „kryzysowych" zamarłe

Do prac tego typu należy niedawno wydana książka p. Aleksandra Kossowskiego[2]) o protestantyzmie w lubelszczyźnie w XVI — XVII wieku. Województwo lubelskie było terenem, na którem w XVI w. z różnych przyczyn zapanował żywy ruch umysłowy i polityczny, rozwinął się handel i nawiązały się ożywione stosunki z zagranicą. Dla propagandy protestanckiej wytworzyły się sprzyjające warunki i cieszy się ona, korzystając z rozprzężenia, panującego wśród kleru katolickiego, początkowo dość dużem powodzeniem. Za jednego z pierwszych zwolenników Lutra można uważać Biernata z Lublina. Następnie zjawiają się kalwini, którzy zakładają w Lublinie pierwszy zbór reformowany w r. 1560; jego ministrem został Stanisław Paklebka, który niebawem opowiedział się za arjanizmem. Pomimo ostrej walki, jaka zapanowała pomiędzy kalwinami i arjanami, początkowo oba odłamy protestantyzmu robią znaczne postępy. Cały szereg wybitnych rodzin szlacheckich porzuca katolicyzm, zajmuje w swych wsiach kościoły i przekształca je na zbory. Odradzanie się katolicyzmu z jednej strony, z drugiej zaś gwałtowne walki ideologiczne, które powstały w obozie protestanckim, zwłaszcza wśród arjan, tamują dalsze postępy reformacji. Przełomowym rokiem jest 1627, w którym dzięki gruntowi, przygotowanemu przez głośne procesy Bolestraszyckiego, Siemińskiego i Pawła Lubienieckiego, dnia 1 sierpnia powstał duży tumult w Lublinie, zakończony zburzeniem zboru. Trybunał lubelski następnie zakazał wszelkiego kultu protestanckiego w Lublinie. Od tej daty rozpoczyna się gwałtowny upadek reformacji nietylko w mieście, ale też w całem województwie. Najazd kozacki w r. 1646 przyczynia się także do upadku wielkiej liczby zborów; wszystkie zaś arjańskie są zamknięte po wypędzeniu „Braci Polskich" z Polski. Nieliczne pozostałe zbory kalwińskie wiodą suchotniczy żywot i stopniowo upadają w w. XVIII. Z 50 zborów protestanckich, istniejących w lubelskiem w XVI wieku, do XVIII dotrwało tylko 3 kalwińskie i 1 luterski.

P. Kossowski, ograniczając swą pracę wyłącznie do terenu historycznej lubelszczyzny, gromadzi skrzętnie wszelkie źródła, dotyczące tego przedmiotu. Ideologiczną stroną reformacji zajmuje się o tyle tylko, o ile spory odbywały się na terenie województwa lubelskiego i nie zajmuje się prawie wcale polityczną stroną zagadnienia, ani też związkami lubelskich gmin protestanckich z gminami innych stron Polski. Dlatego też jego praca jest tylko bardzo szczegółowo opracowanym fragmentem dziejów reformacji w Polsce, mogącym oddać duże usługi każdemu, interesującemu się temi zagadnieniami. Dają się w książce zauważyć pewne, bardzo małe zresztą, luki, tak np. zbyt fragmentarycznie są potraktowani pewni wybitni działacze protestanccy, zbyt mało powiedziano o luteranach, prawie nie wspomniano o stosunkach protestantów ze Szwedami w czasach „Potopu".

LAMBDA

---

[2]) Aleksander Kossowski, zast. prof. kat uniw. lubelskiego: „Protestantyzm w Lublinie i w lubelskiem w XVI — XVII wieku". Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie, tom 11. Lublin, 1933. Str. 256.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Morcinek i Szczucka wprowadzili Śląsk do literatury ogólnopolskiej, stworzyli polską powieść o Śląsku. Ale nie oni stworzyli literaturę śląską; było już przedtem w tej odosobnionej dzielnicy Polski sporo pisarzy, wśród których byli nawet nieźli poeci, jak Ligoń i Łysek. W obecnie młodej generacji dwaj poeci na Śląsku zwracają uwagę swym talentem. Starszy z nich, Włodzimierz Żelechowski, rodem Krakowianin, znany jest z kilku tomików, w których ujawnił odziedziczony po ojcu zmysł malarski i wielką szczerość uczuć. Osiadłszy od kilku lat na Śląsku, zżył się z tym krajem, ukochał go niewątpliwie głękoko, a przytem wczuł się w jego swoisty krajobraz, w tętno jego pracy. Owocem tych jego nowych zainteresowań jest zbiór „tematów śląskich" zatytułowany „W cieniu brzóz i kominów" (skład u Gebethnera i Wolffa).

Zbiór ten rozpada się na pięć cyklów, w których trzy pierwsze mówią o hutach i kopalniach śląskich. Nie brak tu reminescencyj z Morcinka — w tytułach utworów, bo treść niewątpliwie jest wzięta z bezpośredniej obserwacji. W głębiach kopalnianych chodników czuje się poeta nieswojo, doznaje wrażeń jakiejś niesamowitości, wciąż jawi mu się lęk i widmo śmierci, ulgę sprawia mu wydostanie się na powierzchnię, na słońce, wybornie oddany został pęd windy — zapomocą krótkich, dobitnych wyrazów.

Żelechowski jest synem artysty malarza — i nieraz zwracaliśmy uwagę na obecność elementu malarskiego w jego utworach. Nieraz jeszcze ten element pięknie się prezentuje w tym zbiorku. Niestety, czasem przechodzi on także w manierę, gdy autor zaczyna sypać technicznemi wyrazami malarskiemi, poezja jego staje się właśnie bezbarwną, bezduszną, podręcznikową. Mniemamy, że Żelechowski, szukający wciąż swej drogi, trochę zszedł tu z właściwego toru. Zwłaszcza, że w pejzażu dawniej żywo odczuwał — przyrodę.

Drugi poeta — to Adolf Fierla, rodowity Ślązak — z rejonu należącego dziś do Czech. Zaczął od folkloru, od ludowego spojrzenia na dziwy świata, potem zaś wszedł w głąb kopalni i stał się jej piewcą. Podobnie jak na „groniach" świetlanych, tak i w kopalni widzi on jakąś cudowność, jakiś dziw słoneczny. Optymizmem — może naiwnym i pierwotnym, może niezupełnie uzasadnionym — brzmią niektóre z tych utworów. Poezja Fierli jeszcze się nie skrystalizowała w swój własny wyraz, jednakże i dziś nie powinno się jej skąpić i zachęty. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Dziedzicem przepięknej tradycji Franciszka Kvapila i Edwarda Jelinka jest sędziwy już dziś czeski poeta-polonofil, dr. Józef Svitil-Karnik, autor przemiłej książki „*Pod peruti bilého orla*" („Pod skrzydłami białego orła"), wydanej kilka lat temu, a zawierającej żywo napisane szkice o Matejce, Sienkiewiczu, Reymoncie i innych wielkich Polakach, bliskich narodowi czeskiego. Kontynuując dzieło Kvapila i dawniejszego jeszcze poety, wielkiego Vrchlickiego, Karnik pięknie, czasem wręcz kongenjalnie przekłada polskich poetów; ogłasza te przekłady w różnych pismach, zwłaszcza w doskonale redagowanych perjodykach literackich katolickich: „*Archa*" i „*Poesie*"; sporo też przekładów zawarł w zbiorku „*Z polského Parnasu*" (1930).

Teraz zaś z prawdziwą radością witamy gustownie wydany (Praga, nakł. Sp. Ak. Vyszehrad) tomik, zawierający czeską wersję „Łąk Budziejowickich" Zegadłowicza. Przekład jest poprostu śliczny. Tłumacz odnalazł tu właściwą nutę, która taiła się już w samym oryginale. Zegadłowicz ma po matce krew czeską, więc i z tradycji rodzinnej i z atawistycznego odczucia tchnął w „Łąki" nutę i urok czeskiej pieśni ludowej, czeskiego obyczaju, nawet i krajobrazu. Wszak osią całego zbiorku są postacie dziadka poety, czeskiego muzyka, długoletniego organisty z Kalwarji Zebrzydowskiej, oraz tegoż żony, młynarzówny z czeskich Budziejowic. Wspominając o tem wszystkiem, dr. Karnik w ciepłej przedmowie zaznacza, że już nie raz ze zbratania się krwi polskiej z czeską wyrastał cenny owoc dla wspólnej słowiańskiej kultury: nazwiska Matejki, Szajnochy mają swą wymowę.

Przekład Karnika przychodzi w samą porę, gdy potrzeba bardziej niż kiedykolwiek budzić i podtrzymywać poczucie dawnych bratnich węzłów. Tłumacz cytuje urywek listu Zegadłowicza, wyrażający nadzieję, że obecne niesnaski nie będą trwać długo. Możemy podzielać tę nadzieję, bo smutną naprawdę byłoby rzeczą, gdyby miało być inaczej. Słusznie nadmienia Karnik, że najwięksi i najkulturalniejsi ludzie w obu narodach zawsze byli pomni idei bratniej łączności i pojednania. Prócz cytowanego przezeń Asnyka możnaby wspomnieć tu takie nazwiska, jak Mickiewicza, Grottgera, Sienkiewicza... (J. B.)

MUZYKA

GDY DNIA 22 LUTEGO, w sto dwudziestą piątą rocznicę urodzin Fryderyka Chopina, po Mszy Św. odprawionej w kościele św. Krzyża, zebrano się pod pomnikiem artysty, mieszczącym wewnątrz serce (przywiezione tu kiedyś po oddzieleniu od prochów, leżących dotąd jeszcze pod płytą skromnego grobu na cmentarzu *Père Lachaise* w Paryżu) przyszły mi na myśl słowa, które się dzisiaj słyszy coraz częściej, a powtarzane bodajże za Karolem Szymanowskim, iż więcej

cenimy w Chopinie bohatera narodowego, aniżeli narodowego twórcę. Zdanie to, nadzwyczaj trafnie określające rodzaj naszego kultu, zasługuje na skomentowanie. Zwłaszcza dzisiaj, gdy uroczystość wmurowania nowej tablicy w świętokrzyski pomnik, zdaje się potwierdzać aktualność przytoczonej uwagi.

Czy kult bohaterstwa postaci Chopina jest niesłuszny? Nie — ale zadowalanie się nim, i wyłącznie nim, czyni krzywdę muzyce polskiej, a tem samem i pamięci jej największego genjusza. Nie można poprzestawać na egzaltacji i jałowem odurzaniu się z jednoczesnem zamykaniem oczu na tę drogę rozwoju polskiej sztuki muzycznej, którą nam wskazał, szukaniu obcych bogów, lub conajwyżej nikłem tworzeniu „według wzoru mistrza".

Gdy się jednak zastanowimy nad tem, zdawałoby się, bardzo dziwnem zjawiskiem, jakiem było nieskorzystanie ze spuścizny chopinowskiej, znajdziemy może jego wytłumaczenie.

Chopin wyrósł wysoko ponad poziom i z jego śmiercią wchodzimy znowu między troski i przeciętność codziennego życia muzycznego kraju, życia szarego, jak czasy, w których się ono znalazło i musiało rozwijać. „Musiało rozwijać", chociaż warunków do tego rozwoju nie było zupełnie. Każdy bardziej żywy i na większą miarę płomień, gaszono natychmiast w zarodku. Wszystko, co lepsze, znalazło się zagranicą, zużywając swe siły na ciągłe nie tyle „potępieńcze", ile nieszczęsne swary. To, co pozostało, kryło się po zaciszach domowych, opłakując tych, których los rzucił na dwa krańce świata: na Zachód lub też bardzo daleki Wschód.

Na tem tle postać Moniuszki była zjawiskiem, wyrosłem poza tym prądem, który w normalnych warunkach winna wytworzyć twórczość Chopina. Dowodem owa nanaprawdę niebywale ciekawa „zaściankowość" drugiego wielkiego twórcy polskiego. „Zaściankowość" nie w znaczeniu bezmyślnego, pogardliwego wyrażenia, ale przeciwnie — w określeniu pewnego typu cywilizacyjnego.

Jak bardzo, po długim okresie od śmierci Chopina, w którym się nic nie działo, postać Moniuszki była upragniona, świadczy o tem jego niebywała popularność, przed którą skromny organista nie wiedział, gdzie się ma skryć.

Pamiętajmy o latach, w których się to działo. Były to przecież dni, w których „dla pokrzepienia serc" chętnie chadzano po posadzkach narodowego panteonu, szukając największych, najsławniejszych, najwybitniejszych, umieszczonych koniecznie na nieziemskim piedestale pomnika. Wszystkie postacie były bohaterami. Tego pożądała całą duszą... „pozytywistycznie" nastrojona Polska. To przecież w gruncie rzeczy było bardzo realne, gdy się żyło w takich warunkach, że tylko pieśnią przemycaną przez „rozmaite" „Lutnie" czy „Harfy" można było podtrzymywać sztukę narodową. I jakże tu mówić o tworzeniu szkoły, którąby kontynuowała istotę muzyki chopinowskiej! Chopin był przecież na wysokim cokóle, można go było tylko naśladować (pomagał temu jeszcze cały, przesycony naśladownictwem wiek XIX-ty) albo... szukać wzorów obcych, nowych form, co to u kogo innego, w dobrym dla siebie klimacie, poczęły osiągać imponujący wyraz. Zaniepokoiła wówczas mocno inwazja muzyki niemieckiej, której młodzi się mleli zupełnie „zaprzedać"...

Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna. Twórczość Karola Szymanowskiego i całej gromady młodych (Maklakiewicz, Maciejewski) wskazuje nam dobitnie jak należy rozumieć chopinowskie dziedzictwo. Ale tutaj nie koniec. Jeśli kompozytorzy już pojęli swoje zadanie, zrozumieli je, czasby był także i na sztukę odtwórczą, gdzie jest jeszcze pustka i nic nie świadczy, ażeby się chociaż cośkolwiek miało zmienić. Mimo to zmienić się musi. A wówczas będziemy mogli sobie pozwolić na dalszy ciąg kultu Chopina jako bohatera, kultu zupełnie mu należnego. Bo Chopin był wyrazicielem przeżyć swego Narodu, przeżyć wyrastających ponad miarę innych i nie mających w historji przykładów równie w swoim tragizmie wielkich. Mówić więc o „romantycznej" muzyce Chopina i sprowadzać ją do zjawiska wyłącznie sezonowego jest śmiesznem nieporozumieniem. Czcimy nie tylko formę, ale wielkość i jej wieczystość.

Uroczystości chopinowskie rozpoczęto Mszą św. w kościele św. Krzyża, poczem odsłonięto i poświęcono nową tablicę z poprawioną datą urodzin.

W środę, 20-go odbyła się audycja radjowa. Przy fortepianie: B r a c h o c k i, D y g a t i S z t o m p k a. Orkiestra pod dyr. M i e r z e j e w s k i e g o.

W piątek wielki koncert symfoniczny Filharmonji. W programie utwory napisane na fortepian z towarzyszeniem orkiestry (dyrekcja J. O z i m i ń s k i e g o). Wykonano koncerty *e-moll* i *f-moll*, warjacje, „Fantazję polską", *Andante spianato*, poloneza *Es-dur*, oraz krakowiaka *f-dur*.

Dalszym ciągiem koncertu był poranek niedzielny.

Wykonawcami byli: R a b c e w i c z o w a, R o b o w s k a, S z c z e p a ń s k a, S m i d o w i c z, L e w i e c k i, Ł a b u ń s k i i K o n.

W. NARUSZ

W PONIEDZIAŁEK, 25 lutego b. r., państwową nagrodę muzyczną przyznano F e l i k s o w i N o w o w i e j s k i e m u, autorowi „Roty".

FILM

MAJESTIC: „Nowi ludzie", film sowiecki, reż. W. Legoszyna.

Charakter propagandowy wielu filmów sowieckich sprawił, iż niektóre z nich, mimo niewątpliwej jednocześnie wartości artystycznej, nie mogły być u nas wyświetlane. Była to propaganda o charakterze politycznym lub antyreligijnym.

Film „Nowi ludzie" nie jest także pozbawiony pierwiastka propagandy i mimo to, a raczej, w tym wypadku, dzięki temu, może być z pożytkiem pokazywany we wszystkich kinach świata. W swem założeniu bowiem propaguje oświatę, zwalcza analfabetyzm i, co więcej, pragnie przekonać widza, na przykładzie rozwiniętej na taśmie filmowej fabuły, że nawróconego grzesznika (tutaj należy czytać: przestępcę) społeczeństwo przyjmie z powrotem w swoje ramiona, byle chciał uczciwie żyć i pracować.

Jeśli Sowiety potrafią podobną tezę w życiu realizować z powodzeniem, można im tylko powinszować; uśmiechamy się jednak z innego powodu: bo zdaje się autorzy filmu pragną dyskretnie nam suggerować, że ta koncepcja, więcej nawet — idea, jest szczęśliwym wynalazkiem sowieckim. Dla nas autorstwo tej idei nie ulega wątpliwości, gdyż pamiętamy, kto więcej się cieszy z jednego nawróconego grzesznika, aniżeli z gromady sprawiedliwych.

Co do artystycznej strony filmu, stoi ona na wysokim poziomie: zdjęcia, plenery — piękne, gra aktorów prosta, bezpośrednia i szczera, dobrze umiejscowia odtwarzane przez nich postacie w życiu. Popisów aktorskich (sztuka dla sztuki) niema, niema też źle zagranej, drobnej nawet, rólki, któraby mąciła dobry obraz całości. Niecierpliwi tylko czasem, tak charakterystyczne dla filmów sowieckich, wolne tempo; to też momenty o nastroju pogodnym, lub zgoła humorystycznym działają ożywczo. Takim czynnikiem rzeźwiącym jest kapitalna, rozbrajająco bezczelna gęba obwiesia, włóczęgi Grocha.

Reżyserja i montaż bardzo staranne; niewłaściwie wyidealizowana wydaje nam się chwilami jedynie postać młodego chłopaka z okolic nadwołżańskich, który krępuje się objąć wpół swą lubą, gdy siedzą razem pod rzeką. Zresztą te momenty, mniej prawdopodobne, łączą się z innemi, bardzo dobrze podpatrzonemi. Tak np. pomysłem trafnym i życiowym jest wybranie na pierwszą z pobudek do nauki pisania i czytania, u młodej, prostej dziewczyny, chęci samodzielnego korespondowania ze swym ukochanym (żeby inni, czytając dla niej jego listy, nie wyśmiewali się).

Ilustracja muzyczna dobrana z najszlachetniejszej gatunkowo muzyki — Bacha, Mozarta, Czajkowskiego.

KANDYD

I TAKIE BYWAJĄ SYSTEMY

Wydawany we Lwowie, przez b. wojewodę Piotra Dunin-Borkowskiego tygodnik „Problemy” w ostatnim n-rze (6) piszą:

„Krążą niesprawdzone, ale coraz to bardziej uporczywe wieści, jakoby wszystkie ośrodki „Straży przedniej” otrzymały nakaz abonowania wydawnictw organizacji młodzieży państwowej „Legjon Młodych“. Czytają więc o związku radzieckim (Sowietach), o znakomitej polityce mniejszościowej Stalina, o duchowieństwie, jak to papieże niegdyś łączyli się z Rosją, której właściwym celem było nie zmniejszenie ilości katolickich unitów, ale likwidacja prawosławia i panowanie Rzymu na najdalszych nadwołżańskich kresach. Wszystkie te mądrości asymiluje nasza sztuba”.

„Ej, panowie z Min. W. R. i O. P., czy to wystarczy? Czy nie lepiejby było trochę prędzej i radykalniej? Czy stać nas na czekanie dwa wieki na ten wielki rok 1917, który odrodził naszego strupieszałego sąsiada wschodniego i pousuwał wszystkich parlamentarnych krzykaczy? Z murów gimnazjalnych, z zakładów pedagogicznych, ba z seminarjów duchownych rozlega się już przecież straszliwy ryk: dajcie nam „Wolnomyśliciela“.

„Jeżeli już raz to szlachetne pismo wychodzi za dochody z udzielonej mu przez państwo kolektury loterji, to należałoby chyba uprzystępnić je i szerokim warstwom naszej młodzieży pracującej. Nie odnosimy się z tym projektem do braci Jędrzejewiczów, do posłanki Jaworskiej i Moraczewskiej, do sztabu generalnego nieżyjącego Czyńskiego. Do Ciebie Wielebny Księżę Żongołłowiczu, znakomity stróżu wychowania religijnego w Polsce, do Ciebie hrabio Franciszku Potocki, obrońco katolicyzmu przed zakusami prawosławia, do was właśnie zanosi się to błagalne nawpół ironiczne ich wołanie· dajcie nam „Wolnomyśliciela“.

Miesięcznik szkolny „Orlęta” (nr. 4) ogłasza taką rzecz:

„Działo się w pewnem gimnazjum wielkopolskiem. Poszczególne klasy wybierały sobie patrona, by służył im za wzór cnót chrześcijańskich i obywatelskich. Wyniki były różne... Jedni obrali sobie za patrona kogoś z wielkich Polaków, co pracą, mieniem a nawet krwią służyli Ojczyźnie. Drudzy woleli kogoś ze świętych, by ich śladem kształcić się, w doskonałości chrześcijańskiej, duchowo się rozwijać, stać się pożytecznym członkiem Kościoła i Narodu“.

„Wszystko odbyłoby się w spokoju, gdyby nie mała „niewłaściwość”. Otóż jedna z klas zadecydowała, że w czynach swoich naśladować i stawiać sobie za wzór będzie człowieka, który daleko i szeroko rozsławił imię Polski,— I. Paderewskiego.“

„Władze szkolne obioru tego nie zatwierdziły, co więcej, uczniom tejże klasy prawo obierania sobie patrona odebrały i same „mianowały“ patrona. Nominacja zaszczyciła Tadeusza Boy-Żeleńskiego“.

„Gazeta Warszawska“ (nr. 58) donosi:

„Onegdaj w Krakowie pojawiły się plakaty „Legjonu Młodych“, zapowiadające tydzień werbunkowy do tej organizacji. Odezwa zatytułowana: „Na front do walki z kapitalizmem“! wywołała zarówno swą treścią jak i stylizacją niezwykłą sensację w mieście i najróżniejsze komentarze.

Odezwa jest pełna radykalnych haseł. Występuje przeciwko „strupieszałemu ustrojowi kapitalistycznemu“, przeciw „faszyzmowi, klerykalizmowi i nacjonalistycznemu szowinizmowi“. Nawołuje do utworzenia „frontu proletarjatu“. Zapowiada wreszcie przebudowę społeczną i walkę o nowy ustrój. W zakończeniu odezwa nawołuje do wstępowania w szeregi organizacji“.

Oto rezultaty pracy wychowawczej naszych szkół w latach ostatnich. System nazywało się dla niepoznaki systemem „wychowania państwowego“.

NOWE KSIĄŻKI

Cywiński Stanisław. Gwiaździsty diament Norwida. Wilno 1935. Nakładem autora. (Skład i księg. św. Wojciecha w Wilnie). Str. 85 i portret.

Bibljoteka Jugosłowiańska, t. VI, Czubranowicz „Cyganka“ i Gundulicz „Dubrawka“. Przekład Cz. Jastrzębiec Kozłowskiego. Warszawa, 1935. Dom Książki Polskiej.

Prus Bolesław. Pism t. X. Geb. i Wolff.

Schweitzer Albert. Wśród czarnych na równiku. Przekład Z. Petersowej. Warszawa. 1935. Wydawn. nowoczesne.

Niepodległość. Zesz. 27.

Sprawy Narodowościowe. Warsz., lipiec-wrzesień 1934.

Krzesiński Andrzej ks. dr. Współczesna niewiara. Poznań, 1935. Księg. św. Wojciecha. S. 32.

Pawlikowski Michał. Wierzę w jednego Boga. Poemat z „Hymnów strzelistych“ pierwszy. Medyka 1934. Nakładem Bibl. Medyckiej.

Składkowski Sławoj Felicjan. Benjaminów (1917 — 1918). Warsz. 1935. Instytut badania najnow. historji Polski. S. 425 z ilustr.

Gaertner Henryk. Gramatyka współczesnego języka polskiego. Część III, 1. Słowotwórstwo. Warsz. 1935. Książnica — Atlas.

Przegląd Filozoficzny. Rocz. 37, zeszyt 3. Warsz. 1934. Warsz. Tow. Filoz.

Nowakowski Zygmunt. Rubikon. Warsz. (1935). Gebethner i Wolff.

Dąbkowski Przemysław. Oswald Balzer. Życie i dzieła (1858 — 1933). Lwów 1934. Nakładem Tow. Naukowego. S. 236, z portretem.

NA MARGINESIE

Pewien dziennikarz przechwalał się, że od niejakiego czasu pracę ma znacznie ułatwioną, podrosły bowiem dzieci i pomagają mu.

— Przecież one są w szkołach...

— Właśnie. I syn i córka bezustannie piszą dla szkoły wypracowania na bieżące tematy polityczne. Teraz taki system edukacyjny. Ja potem biorę od nich zeszyty i walę do dziennika. Nawet nie mógłbym sam' pisać, bo dzienniki stale są dzieciom potrzebne.

— Zmiłuj się pan, przecież to są pewno bujdy i bardzo tendencyjne.

— Ja przecież pisuję do dzienników sanacyjnych.

*

W kołach młodzieży sanacyjnej krąży wersja, że sprawa zmiany konstytucji uległa zwłoce z powodu trudności, jakie zachodzą przy uzgodnianiu tez p. Cara z Legjonem Młodych.

Młodzi z Legjonu i ze Straży Przedniej uważają, że nowy ustrój musi odpowiadać ideałem społecznym „przyszłościowym“, a właśnie konstytucja w Sowietach ulega teraz modyfikacjom. Niech więc naprzód wzór się ustali, a powtóre, ani Legjon Młodych, ani Straż Przednia nie mogą się zgodzić, aby sprawy własności prywatnej i Kościoła nie były przez Konstytucję załatwione, oczywiście w duchu negatywnym.

*

W ostatnim numerze „Pionu“ młody poeta p. Piechal zapełnił całą kolumnę swojemi wierszami. Pierwszy z nich jest jakby wstępem do innych i tłumaczy mękę artysty, którego zapewne warunki zmusiły do szukania sławy na łamach sanacyjnego perjodyku. P. Piechal pisze:

„Gdybym nie był poetą, byłbym robotnikiem“.
A wówczas. .
„W piersi serce miałbym a nie mątwę“.

Czyż więc nie lepiej rzucić do djabła całą pisaninę, a wziąć się do uczciwej pracy, za cenę zamiany tej mątwy z powrotem na serce, prawdziwe serce?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM